

# Oni



ELIZA ORZESZKOWA

GLORIA VICTIS

# Oni

*(R. 1863)*

...Był w zamkniętym, cichym pokoju wieczór zimowy, długi, gdy ta dawna znajoma moja, z twarzą na światło lampy obróconą, z wnętrza głębokiej zadumy mówiła:

— Pytanie twoje o moje wspomnienia, prośby twoje, abym swoje wspomnienia twojej pamięci powierzyła, przenoszą „duszę moją utęsknioną” w wiosnę ową, w ów sen, w ową godzinę, którą niegdyś zegar przeznaczę wydzwonił wielkim głosem.

Wiosna przeminęła, sen zgasł, godzina umarła i dusze ludzkie pozostały za nimi daleko, wirem życia coraz dalej unoszone, lecz wiecznie je pomnę.

O, wiosno! kto cię widział w naszym kraju,  
Pamiętna wiosno.....  
Kto cię widział, jak byłaś.....  
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!  
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!<sup>1</sup>

Przesunęła mi się o wczesnym poranku życia jak sen złoty i krwawy, zniknęła. Po świetle rozlała się ciemność. W ciemności miałam duszę wiecznie utęsknioną i za słonecznymi, złotymi snami gonącą — po polach, nad którymi stały ciszę głuche i hasały ponure wichry.

Chcesz okrucza, momentu, fragmentu tej wiosny. Dobrze. Posłuchaj!

I

Miałam lat dwadzieścia, lecz pomimo młodości tak wczesnej, dla przyczyn, które pomijam, bo z moją osobą tylko były w związku, wiedziałam o wszystkim, co się dookoła działo i nikt z niczego tajemnicy przede mną nie czynił. To tłumaczy, że w momencie owym znajdowałam się w tym domu i że byłam świadkiem sceny tej, o! bardzo ważnym i wzruszonym.

Dom był jednopiętrowy, obszerny, na biało otynkowany, mający przed sobą dziedzińiec bardzo rozległy, a za sobą wysokie oparcie drzew ogrodowych. Wszystko, co otaczało dom ten i znajdowało się w jego wnętrzu, oznajmiało dostatek wielki i smak wykształcony. Pięknie tam było, zamożnie, wytwornie i dotąd spokojnie.

1

nawiązanie do fragmentu *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza, z *Księgi XI*:

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,  
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!  
O wiosno! kto cię widział, jak byłaś kwitnąca  
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,  
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!  
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!  
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,  
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

[przypis edytorski]

Ale teraz anioł spokoju z ziemi tej odleciał i rozlało się po niej wrzenie głuche, bo tajemnicą okryte, tym namiętniejsze i tym tragiczniejsze. Było to wrzenie serc i głów w kotle niewoli, pod pokrywą tajemnicy.

W obszernym i ozdobnym wnętrzu domu toczyły się gwarne rozmowy trzydziestu około mężczyzn różnego wieku i różnej powierzchowności. Na dnie gwaru tego czuć było niewypowiedziane, lecz niespokojne oczekiwanie.

Byli to członkowie organizacji powstańczej paru powiatów poleskich, oczekujący na przybycie jednego ze współobywateli swoich, który dziś przed nimi miał złożyć oświadczenie, że przyjmuje dowództwo nad miejscowym oddziałem zbrojnym lub że je odrzuca.

Prawie powszechne było zdanie, że nie odrzuci, ale pewności zupełnej nie posiadał nikt. Nikt z obecnych nie znał go z bliska, wielu nie znało go wcale. Jednak od kilku już miesięcy imię jego wymawiane było w okolicy bardzo często.

— On jeden mógłby! — mówiono. — On tylko jeden!

I czoła mówiących powlekały się troską, bo jeżeli on nie zechce, nikt w tych stronach nie potrafi. A ręką nieumiejętnym, sztuce wojskowej obcym, zadanie to powierzać...

Nietrudno było przypuszczać, że nie zechce, bo zadanie posiadało wagę i grozę rzeczy niezmiernie wysokich i niebezpiecznych.

Ten, kto zadania tego miał się podjąć, musiał posiadać bary Atlasa i serce gardzące mieczami Damoklesowymi. Mnóstwem mieczy najeżone było to zadanie i krwawiły się na nich napisy: Odpowiedzialność, Męka, Śmierć. Trzeba było porzucić wszystko, co było miłe, kochane, spokojne, bezpieczne, a pójść pomiędzy te miecze, w ich błyskawice i w ich mordercze szczęki. Trzeba było zwyciężyć albo zginąć; trzecie wyjście z koła ich nie istniało. Zwyciężyć zaś łatwo nie będzie; owszem, stokroć trudniej aniżeli poprzednikom, którzy w epizodach minionych tej już prawie stuletniej walki — nie zwyciężyli. Więc trzeba było mieć głowę zapaloną takim pożarem idei, aby w jego blaskach oślepnąć całkowicie na samego siebie, na wszystko, co nie jest przedmiotem tej idei i jej ofiarnym ołtarzem. Trzeba było w samej nawet klęsce, zza zasłon czasu dostrzeżonej, widzieć krwawe, lecz nieśmiertelne ziarno przyszłego zwycięstwa i umieć na grób własny patrzeć żrenicą nie tylko niewzruszoną, lecz jeszcze rozradowaną przez myśl i nadzieję, że kiedyś, w pokoleń i czasu oddali z emanacji przez grób ten wyziewanych powstanie krwią przelaną unieśmiertelniony Arcyzwycięzca, Duch.

Zdarzać się wprawdzie mogło, że w koło to wstępowało, w krater ten wskakiwało uniesienie lekkomyślne, uniesienie młodzieńcze, nie znające faktów, liczb, możliwości, niemożności, wzgardliwie omijając wszystko, co nie jest żądzą serca, marą wyobraźni.

Ale o nim wiedzieli wszyscy, że w sile męskiej wieku będąc, młodzieńcem już nie był, że wiele wiedział, umiał, że w rzemiośle wojskowym był biegły. W tych stronach poleskich urodzony, młodość daleko stąd przepędził, w wojnach brał udział, twarde prawo żelaza i liczby znał. Pułkownik jednego z uczonych działów ogromnej armii, drogę miał przed sobą daleką, może z wysokimi szczytami u kresu. I nagle rozstał się z tą drogą, zerwał z przeszłością, wyrzekł się przyszłości, do rodzimej swej wsi poleskiej powrócił, w niej osiadł. Niedawno, zaledwie przed miesiącami.

Nikt go tu z bliska nie znał, więc nikt nie wiedział, na jaką miarę pierś jego skrojona. Bo posiadać rozum, umiejętność, biegłość w fachu, nie zawsze znaczy to być człowiekiem mającym serce wielkie.

Kto wie, jak postąpi?

Poselstwo, przed niewielu dniami do niego wysłane, odpowiedzi stanowczej nie przyniosło. Przyrzekł, że dziś przed zgromadzonymi członkami organizacji stanie i postanowienie swoje oświadczy.

Tymczasem nie przyjeżdża.

Pora dnia już późna. Właściwie dzień już się skończył. W salonach służba zapaliła lampy. Jasne światło rozlało się po obrazach, sprzętach, kwitnących roślinach, obciążających stoły książkach, dziennikach, albumach. Przez kilka okien otwartych na wieczór kwietniowy, dziwnie ciche i ciepłe, wlatywał zapach narcyzów i mieszał się w powietrzu z jasnym światłem lamp.

Jasno i wonnie było w salonach, jednak stawać się poczęło chmurnie i duszno.

Rozmowy leniwiły, gwar głosów przycichał, na czołach osiadały chmury.

Gospodarz domu, urodziwy i rosły brunet w średnim wieku, z czołem wyniosłym i ustami przybierającymi często zarys mądrych, lecz sarkastycznych uśmiechów, z kilku starszymi gośćmi przechadzał się po salonie, coraz więcej milczący i roztargniony. Oni, ci goście, z pobłyskującą srebrem siwizną na głowach, kiedy niekiedy przystawali, przysłuchiwali się czemuś, zdawali się na coś oczekiwać.

Co chwila ktoś wysuwał się z salonu, wychodził na ganek domu i w zmierzchu łagodnego wieczoru wpatrzony wyteżał wzrok i słuch.

Inni otwierali leżące na stołach dzienniki, albumy, lecz łatwo było zgadnąć, że kart, na które patrzyli, nie widzieli, z myślą około czegoś innego krążącą.

Inni jeszcze, u otwartych okien stojąc, zamieniali się półgłosnymi słowami, często milknąc, w zamyśleniu.

Wśród tych u okien stojących najwyraźniej dziś dostrzegam szlachetną twarz Władysława Orszaka. Postawę miał ciężką nieco, ruchy powolne i mowę nieco powolną, rozważną. Starzej nad swoje lat czterdzieści wyglądający, oczy zmęczone i smutne wznosił ku górze, ku zawieszonym za oknem mrocznym błękitom, a pod bujnym, ciemnym wąsem łagodnymi jego ustami poruszały ledwie dostrzegalne drgania. Jakby modlił się. Może. Światło lampy pozłacało mu ciemne włosy i brodę na szeroką pierś spadającą.

Najmłodsi z towarzystwa do nas, kobiet, się zbliżyli. Nas, kobiet, było tylko dwie. Gospodyni domu, ładna, wiotka, trochę tylko ode mnie starsza, tuż przy mnie na małej kanapce siedziała. Zbliżył się do niej i do mnie bardzo wysoki, atletycznie zbudowany brunet, którego dla rysów rzymskich i cery południowej Scypionem czasem nazywano. Powierzchność to była człowieka śmiałego, mocnego w uczuciach i woli. Oczy płonęły jak czarne diamenty, usta pod czarnym wąsem gorzały purpurą. Przy nim niebawem stanął typ młodzieńczy zupełnie odmienny. Południe i północ.

Postawa wysmukła, raczej wątła niż silna, twarz biała, włosy złote, wesołość niemal dziecinna w błękitnych oczach. Słynny na szeroką okolicę z namiętności myśliwskiej, ze znakomitej jazdy konnej, z wprawy strzeleckiej. Przeszłość krótka bardzo, lecz w której nic nie zapowiadało polotu ku gwiazdom lub pociągu ku otchłaniom. Trzeci, który się zbliżył, jeszcze prawie student, przez nas z powodu pokrewieństwa bliskiego po imieniu Florentym nazywany. Ze studiów uniwersyteckich przywiózł z sobą demokratyzm gorący, zawzięty, w myśli, sercu i mowie wciąż jakby pacierz odmawiający deklinację: lud, ludowi, dla ludu, przez lud, w ludzie... Ogorzały, barczysty, łączył w sobie z demokratycznym sposobem myślenia nieco też demokratyczną, umyślną rubaszność ruchów i słowa, gdy z szarych oczu patrzyła na świat miękka, litościwa, wciąż ku wyżynom wlatująca dusza marzyciela.

Stanęli przed nami i zaczęli mówić o *nim*.

— Spotkałem się z nim, widziałem go, to człowiek niezwykły, na wodza stworzony. Przyrzekł, więc przyjedzie... Tacy ludzie, gdy coś przyrzekną...

— Rzecz prosta, że przyjedzie. Czy dowództwo przyjmie? nie wiadomo...

— Przyjmie niezawodnie...

— Dlaczego niezawodnie?

Gospodarz domu zbliżył się do żony i z cicha rzekł:

— Jest już tak późno, że kazałem podawać wieczerzę. Proś gości, Stefuniu!

Wysokie czoło przeszywała mu zmarszczka niezadowolenia i w zarysie ust tkwił wyraźniejszy niż kiedykolwiek sarkazm. Jeden ze stojących przed nami młodzieńców z drgnieniem ironii w głosie zapytał:

— Pan już zwątpił?

— Zwątpilem.

— Ja nie.

— Ani ja.

Gospodarz zawołał:

— Szczęśliwa młodość!

— Dlaczego szczęśliwa? — zapytały trzy młode głosy, w których brzmieniu czuć było już rozniecającą się iskrę tych sporów, uraz, zażaleń, które od roku, może więcej, wybuchwały tu pomiędzy ludźmi starszymi a młodszymi co dzień, co godzinę, gorące, czasem namiętne i gwałtowne.

Gospodarz domu sympatii młodego pokolenia nie posiadał, o! nie, za ironię, za to, co nazywało ono chłodem uczuć, może trochę za dumę człowieka wysoko wykształconego i możnego. Tym razem jednak znikł mu z ust bez śladu wyraz ironii.

— Dłatego — odpowiedział — że młodość to wiara, która uszczęśliwia, gdy wątpienie boli.

Mówił szczerze. Z wyrazu czoła i oczu znać było, że go coś dojmująco, głęboko bolało.

Wkrótce wchodziliśmy wszyscy do wielkiej sali jadalnej, w której długi stół, okryty naczyniami stołowymi, błyszczał w rzęsimym świetle lamp i świec.

W głębi sali, naprzeciw drzwi, przez któreśmy wchodzili, rysowała się na jasnym tle ściany kolumna z czarnego drzewa, z okrągłym wyrżnięciem w głowicy. Był to staroświecki zegar, aż pod sufit prawie wznoszący swe oblicze wielkie, okrągłe, białe, czarnymi zmarszczkami wskazówek przeorane. Wyglądał jak symbol czasu, z góry i obojętnie spoglądający na ludzkie zachody, niepokoje, losy.

Był moment krótki, w którym zebrani, na znak gospodyni domu oczekując, otaczali stół w postawach stojących. Ona, stojąc również, na kilka osób nieco spóźniających się oczekiwała. Po sali płynął niegłośny szmer rozmów, dwie nasze kobiece suknie rzucały na czarne tło ubrań męskich plamy jasne i w blasku lamp świetliste.

W tym właśnie krótkim momencie za oknami rozległ się turkot kół. Szmer głosów rozmawiających umilkł, salę zaległa cisza. Nikt nie usiadł. Po wszystkich twarzach rozlał się wyraz zaniepokojenia; niektóre z nich trochę pobladły.

Gospodarz domu śpiesznie do przedpokoju wyszedł i po minutach kilku już spóźnionego gościa obecnym przedstawiał.

Po wielkiej sali, w rzęsimym świetle, wśród ciszy zupełnej i trzydziestu paru oczu w jednym punkcie utkwionych, rozległo się imię i nazwisko — Romualda Traugutta<sup>2</sup>.

Jednocześnie w głębi sali, prawie pod sufitem, zabrzmiał metaliczny, basowy dźwięk. Zegar z białą twarzą w czarnej obwódce uderzać zaczął godzinę. Dziesięć z kolei dźwięków metalicznych, głębokich płynęło górą, gdy dokoła stołu brzmiały nazwiska gości, z którymi gospodarz domu przybyłego najpóźniej zaznajamiał.

Przyczyna opóźnienia z łatwością wyjaśniona została: jakiś prosty i pospolity wypadek w kilkumilowej podróży po złych jeszcze drogach wiosennych.

Miał lat trzydzieści sześć i na wiek ten wyglądał, wzrost średni, budowę ciała więcej sprężystą i szczupłą niż silną, a w ruchach łatwych, pewnych siebie, w postawie wyprostowanej coś, co przypominało typy wojskowe. Od pierwszego wejrzenia rzucała się w oczy głęboka czarność jego włosów tak obfitych, że dwie ich fale, jedna nad drugą, wznosiły się nad czołem śniadym, kształtnym, przerżniętym od brwi aż prawie po włosy pionową linią głębokiej zmarszczki. Oczy niełatwo było dostrzec, bo okrywały je szkła okularów, lecz wśród owalu śniadej twarzy uwagę zwracały usta bez uśmiechu, spokojne i poważne. Może ta powaga ust i ta zmarszczka na czole przedwczesna sprawiały, że w powierzchowności tej uderzał przede wszystkim wyraz myśli surowej, skupionej, małomównej. Nic miękkiego, giętkiego, ugrzecznionego, nic z łatwością wylewającego się na zewnątrz. Tylko myśl jakaś panująca, przeogromna, nieustannie w milczeniu, w skupieniu pracująca i pod jej pokładem jakiś tajemny upał uczuć, który na czole wypalił przedwczesną zmarszczkę i gorącym kolorytem powlókł milczącą twarz.

Znać było, że daleko chętniej milczał, aniżeli mówił. Do rozmowy o rzeczach potocznych, która toczyła się w czasie wieczery, mieszał się rzadko i obojętnie, krótkimi słowami. W zamian niepodobna było nie dostrzec, że wzrokiem bada otaczające, świeżo poznawane twarze. Może w duchu, gotującym się do spełnienia jednego z najdramatyczniejszych aktów, jakie przez duch człowieczy spełnionymi byś mogą, zapytywał o wartość i siłę swoich w dramacie współaktorów.

Cicho za odchodzącą służbą pozamykały się drzwi sali; wszyscy siedzieli w milczeniu dokoła długiego stołu, z którego zdjęte już były okrywające go wprzód naczynia.

Gospodarz domu w postawie stojącej przemawiał.

Mówił o tym, że niedawno jeszcze przeciwny był rozpoczynającemu się w kraju ruchowi i powstrzymywać go usiłował, nie dlatego, aby mniej od kogokolwiek pragnął

<sup>2</sup>Traugutt, Romuald (1826–1864) — generał, dyktator powstania styczniowego 1863 r., stracony przez powieszenie pod Cytadłą Warszawską. [przypis edytorski]

wolności i szczęścia kraju, ale że pora nie zdawała mu się wybrana trafnie ani siły dość przygotowane, ani szanse zwycięstwa równe szansom klęski, która jeżeli nastąpi, przyniesie następstwa wagi nieobliczalnej, najpewniej bardzo ciężkiej. Mniemał, że cierpliwe oczekiwanie na moment sposobny, na zbieg okoliczności dla walki pomyślny, na powiększenie sił i zasobów do niej, nie mniej jest warte od rzucenia się w walkę ze szlachetnym i choćby bohaterskim zapalem w sercu, lecz bez należytej orientacji w głowie, bez wagi w rękę i arytmetycznej tablicy przed oczyma.

— Czycielem rozumu jestem i tych szkielek mędrca<sup>3</sup>, które wyśmiewać ma prawo poezja, lecz których polityka sprzed oczu usuwać nie powinna. Dlatego odradzałem, walczyłem z prądem, usuwałem się na stronę. Byłem biały...

Przy słowach ostatnich podniósł głowę i śmiałym spojrzeniem spotkał się z niechętnymi, ironicznymi uśmiechami, które na kilka twarzy wystąpiły.

— Nie sam jeden w zgromadzeniu tym jestem, którym tak myślał i nazwę tę nosił. Wszak znajdują się tu współmyślący moi, nieprawdaż?

Wyżej jeszcze podniósł głowę, na odpowiedź czekał. Poważnie kilka głosów odpowiedziało:

— Tak.

Więc mówił dalej:

— Teraz uderzył już dzwon, wielki dzwon historyczny i nie białym, ale czarnym byłby ten, kto by na dźwięk jego głuchy pozostał. Istnieje coś, co gdy raz nad powierzchnię ziemi wystąpi, zgładzone z niej być nie może. Tym czymś jest fakt. Fakt zbrojnej walki stał się. Znaczna część kraju w ogniu jej już stoi. Jakkolwiek niebezpieczeństwa czy niepodobieństwa mógłby dla niej i przez nią spozstrzegać rozum, on również wskazuje, że przeciw niebezpieczeństwom i niepodobieństwom, przeciw hańbie także, która zuchwałych a niedołężnych okrywa, orężem ratunkowym może być tylko nasza jedność. Mądry syn domu ostrzega przed rozniecaniem ognia nieostrożnym i niewczesnym, lecz kiedy dom już gore, szalony byłby, więcej — przeklęty byłby, gdyby nad nim nie roztoczył ramion czynnych, ratujących! Przekonań człowieka godzina każda odmieniać nie może, ale w godzinie każdej inne być mogą obowiązki. Obowiązkami godziny, która wybiła w kraju naszym, są dla nas: jedność i ofiarność. W nich nadzieja... Bez nich zginiemy...

Wstrzymał się, z głową spuszczoną milczał, myślał. Rumieńce na policzki, blaski gorące w oczy wstępować mu zaczynały.

— Są to przyczyny, dla których, gdy fakt stał się i godzina nowego obowiązku uderzyła, wstąpiłem do organizacji powstańczej tej poleskiej ziemi i na czele jej stanąłem. I od momentu, w którym rozum mój zatwierdził hasło: jedność i ofiarność! siebie samego i wszystko, co moje: dom, majątek, w potrzebie wolność i życie, siły rozumu, jakimi rozporządzam i pragnienie serca najgorętsze z tych, których zaznałem kiedykolwiek, złożyłem na usługi sprawy.

U przeciwnego końca stołu zabrzmiały ciche brawa, wyszeptywane przez te same usta, które przed chwilą uśmiechały się ironicznie i niechętnie. Ale mówiący, na ten szmer przyjazny, tak jak przedtem na nieprzyjazne uśmiechy obojętny, mówić kończył:

— W charakterze nowo mianowanego naczelnika organizacji ziemi poleskiej, w imieniu jej i w obecności jej członków, zapytuję pana Romualda Traugutta, czy przyjmie dowództwo nad uformowanym przez organizację zbrojnym oddziałem tej ziemi?

Niewysoki, szczupły, wyprostowany i tylko z pochylonym nieco czołem, na którym upał wewnętrzny wypalił pod falami kruczych włosów przedwczesną zmarszczkę, wstał z krzesła Romuald Traugutt i odpowiedział:

— Z dalekich stron powróciłem tu z myślą, że usługi moje mogą być teraz potrzebne ojczyźnie. Zawód, któremu się oddawałem, przysposobił mnie do ofiarowanego mi zadania, więc je przyjmuję.

Krótkie to było, proste, skromne, wypowiedziane głosem mającym brzmienie czyste i metaliczne.

Dokoła stołu wszyscy powstali i pochyliли się w milczącym ukłonie, po czym salę zaległa chwilowa cisza. Cisza serc, oblewających się potajemnymi łzami wzruszenia i cisza

<sup>3</sup>Czycielem rozumu jestem i tych szkielek mędrca (...) — nawiązanie do utworu *Romantyczność* z tomu *Ballady i romanse* Adama Mickiewicza: „Czucie i wiara silniej mówi do mnie/ Niż mędrca szkielko i oko”. [przypis edytorski]

grozy, którą oddychają momenty wyroczne; i ta jeszcze cisza, z jaką nad tym biednym światem kędyś wysoko ważą się na szalach przeznaczenia losy ludzi i narodów.

Pierwszy ciszę przerwał Traugutt.

— Proszę organizację o zdanie spraw z działań dla uformowania oddziału przedsięwziętych i dokonanych, z liczebności tego oddziału, uzbrojenia i wszechstronnych zasobów jego oraz o mapy powiatu i powiatów sąsiednich, czyli topograficznego terenu, na którym rozwijać się będą przyszłe działania wojskowe.

Głos to był nieco inny już od tego, którym przemawiał przedtem. Pobrzmiwała w nim nuta rozkazu, czuć było człowieka, który z zadaniem raz na siebie przyjętym żartować nie będzie i fachowca, który wiedząc dobrze, czego żądać mu należy, żądania swe stawi bez próżnych dodatków i omówień.

Bardzo szybko zjawily się na stole mapy mniejsze i większe, lecz przed ich rozwinięciem z kolei mówić zaczęli ci, którzy pełniąc w organizacji urzędy dziesiątników i setników zdawali sprawę ze zgromadzonych przez siebie dziesiątków i setek przyszłych zbrojnych partyzantów, cyfry nieduże zresztą, bo oddziały partyzanckie z samej natury tego rodzaju wojny liczne być nie mogą, potem nazwy broni, ilości jej i gatunki.

Wódz z twarzą ku mówiącym podniesioną słuchał; w szklach, które osłaniały mu oczy, zapalały się, przygasaly, migotały odbicia światła, czasem pytania krótkie zadawał, czasem zsuwały się mu brwi czarne i zmarszczka na czole pogłębiała się widocznie. Raz tylko po rysach milczących przepłynęła, wnet znikając, smuga radości. Było to wtedy, gdy przemówił naczelnik zorganizowanej w powiecie poczty obywatelskiej, Władysław Orszak.

Jak zwykle ocięzaly nieco w poruszeniach, jak zwykle powoli i rozważnie mówić zaczął o potrzebie otaczania partii zbrojnej pilną strażą tych, którzy w domach pozostaną, rozciągania dokoła niej takiej niby sieci drutów telegraficznych, z męźnych woli i serc wyprzedzonych, które by świat z nią i ją ze światem, i jeszcze ludzi jednomyślnie z nią działających, a rozproszonych po świecie — wiązały.

Z twarzą nad wiek przywiedła, łagodną, od której na piersi spływała ciemna, gęsta broda, z oczyma, w których zmęczonym, lecz czystym błękicie było coś z bolesnych upałów, które długo płonęły tajemnie i bezpożytecznie, mówił o tym, gdzie, jak, przez kogo przewożone, przenoszone będą wiadomości, ostrzeżenia, żądania, wskazania.

Taka poczta nie jest najpodrzedniejszą częścią rozpoczętego dzieła; owszem, jest jego częścią bardzo ważną. Musi być zwinna, ostrożna, umiejąca latać i pełzać, prześlizgiwać się i umykać. Ale znaleźli się ludzie do roboty tej odpowiedni i pan naczelnik przebaczył, że nie samych starych do niej zabrano, lecz także trochę młodych, którzy już w partii służyć nie będą, dopóki ona w okolicach tych pozostanie. Potem, gdy losy walki przeniosą ją w miejsce inne, i ci z nią się połączą, ale tymczasem do tej strażniczej roboty trzeba także trochę sił niesteranych i z zapalem młodości oddanych sprawie. Bo przecież...

— Bo przecież partia to serca bijące i krew gorąca kilku setek ludzi, to... dziecko marzeń naszych, zabiegów, nadziei, że raz przecie nie jak niewolnicy z duszami zabitymi, lecz jak żywi ludzie żyć będziemy. Trzeba tedy nad nią czuwać, trzeba krwawym zapasem jej troskliwym czuwaniem dopomagać!...

Pochylił twarz, która wraz z czołem pocięła się w mnóstwo fałd i zmarszczek, z łagodnej zwykle stając się posępną. Z każdej jej zmarszczki i z każdej jej fałdy wyglądały gorzkie myśli, ciężkie smutki, długo w milczeniu i niemocy przeżywane. Powoli, głosem głuchym znowu mówić zaczął:

— Powiedziałem: niewolnicy z duszami pozabijanymi. Tak jest. Kiedy ręce skute i usta zakneblowane, to i dusza zrazu usypia, a potem mrze. Byli tacy, którzy powiadali: „Czego wam brak? Spokojnie sobie żyjecie, w dostatkach... po co zdrową głowę pod ewangelię kładzicie?” Otóż to... zdrową głowę! Śmiech gorzki z takiego zdrowia! Nic nam nie było wolno: ani czynić, ani głośno mówić, ani ludu naszego z jarzma niewoli i ciemnoty wyzwać, ani życia swojego przerabiać, polepszać. Tylko: jedz, pij, śpij i gnij! To wolno. Niedobrze ci z tym? Powinno być dobrze, a jeżeli nie jest, to milcz! Jeżeli sarkniesz głośno lub palcem poruszysz — na Sybir! I tak było tyle lat. Boże mój! Tyle dziesiątków lat! Byli tacy, którzy w tym błocie poznajdowali sobie różne rozkosze i nimi się potruili, ale byli inni. Boże! Ty jeden wiesz, ile ci inni cierpieli! Jak im własne myśli

palily wnętrzości, jak z nich własne siły i ochoty, do niczego nie użyte, rzeźały zaduszane, ciągle konające i nigdy nie mogące skonać! Najlepsze lata życia przechodziły nam, jak ten dym szary, który po ziemi się czołga, a gdy spróbuje wznieść się w górę, zły wiatr zaraz o ziemię go ciśnie i po błotnistej powierzchni jej rozciągnie... Tak dłużej nie można było żyć. Ja wiem, że siły nasze małe, więc czerwonym być nie śmiałem. Ale i białym nie byłem także, nie! Za wiele cierpiał, za wiele przysłuchiwał się śmiertelnemu rżeniu duszy własnej i dusz bliskich, abym białym mógł być. A teraz co do tej motyki porywającej się przeciw słońcu, to myślę, że... Bóg jest z nami i że sprawa nasza to sprawa boska. Tedy... jaki tam koniec będzie, to będzie, powinność swoją... powinność swoją czynimy.

Bardzo wzruszony, z drżącymi wargami i pobladłym czołem na krzesło opadł, ciężko oddychał, a po krótkim milczeniu dodał już tylko:

— Poczta obywatelska powinność swoją spełni. Ręczę.

Wtedy to właśnie na milczącą twarz naczelnika oddziału zbrojnego spadła smuga radości i choć prędko zgasła, oczy jego, zza szkieł je osłaniających, tkwiły długo w szlachetnych, smutnych, przedwcześnie uwiędłych, zoranych rysach Orszaka.

Teraz rozpostarło się na stole kilka map różnej wielkości i wieniec głów pochylił się nad nimi, gdy w gwarze rozmowy brzmiały liczne nazwy dworów, wsi, miasteczek, uroczysk.

Żadna droga żelazna wówczas jeszcze stron tych nie przebiegała i było w nich trochę gościńców szerokich i mnóstwo dróg, drożyn, które w kierunku różne rozbiegały się po nieścignionej okiem równinie.

Były w tych stronach okolice żyzne, ludne, falujące bujnymi zbożami, gęsto strzelające ku niebu grupami topoli, które przyozdabiały dwory, i krzyżów, które stróżowały u wrót wiosek.

I były pustkowia niemal bezludne, kępami wilgotnych łąk wysadzane, wodami mokrzańców świecące, przemawiające tylko głosami hulaszczyc wicherów lub wędrownych ptaków, dla stóp obcego przybysza groźne śmiertelną grzęzłą trzęsawisk.

I były tam jeszcze lasy wielkie, głębokie, lasy odwieczne, przez wieki toporem nie-dotykane, wspaniałe przybytki natury samotnej i dzikiej, obłędne labirynty, z drogami wiadomymi tylko zwierzom je zamieszkującym i ludziom o barach potężnych, wzroku bystrym, strzałach celnych, którzy nad ich niepokalaną całością stróżowali.

I był tam na koniec wśród wielu wód innych, przez naturę po ziemi tej rozlanych, jeden szlak wody nieszeroki, przez ręce ludzkie na powierzchnię jej dobyty i nazwany Kanałem Królewskim.

Podniósł się wieniec głów znad map na stole rozłożonych i po ustach rozbiegły się słowa:

— Za Kanał Królewski! Do lasów horeckich.

Tam partia udać się i obóz założyć miała.

Przedtem jednak zgromadzić się musi. Z ziemi rozległej, z równiny dla oka bezgranicznej, z rozsianych po niej dworów, miasteczek, chat leśniczych, zagród drobnoszlacheckich, na jednym punkcie zgromadzić się musi. Na punkcie przedstawiającym ułatwień najwięcej, niebezpieczeństw najmniej.

Romuald Traugutt podniósł znad mapy twarz i wymówił:

— Dwór dziatkowicki.

A po krótkiej chwili, spojrzeniem po zebranych wiodąc, zapytał:

— Czy właściciel Działkowicz jest tutaj obecny?

— Tak; ja jestem właścicielem Działkowicz.

Traugutt mówić zaczął:

— Władzy dyktatorskiej nie posiadam. Mienia i wolności ludzi na niebezpieczeństwo wystawiać bez dobrowolnego zgodzenia się ich na to nie mam prawa. Miejsca, które będzie punktem zbornym partii i właścicielowi jego zagrożą niebezpieczeństwa poważne. Dwór spalony, majątek zabrany, właściciel jego uwięziony i surowo karany może zostać. Zgromadzenie się partii w Działkowiczach przedstawia dla niej korzyści znaczne, lecz które wówczas tylko osiągnięte będą, jeżeli właściciel miejsca tego, z pełną wiedzą o możliwych następstwach swego czynu, zgodzi się go dokonać!

Już w połowie przemówienia tego podniósł się z krzesła ów wysmukły, zaledwie dojrzały blondyn z białą twarzą, wesołymi oczyma i drobnym wąsem złotym nad ustami,



które dotąd zdawały się znać tylko śmiech, pieśń i pocałunki; ów myśliwiec namiętny, na szeroką okolicę ze znakomitej jazdy konnej i strzałów celnych słynny, ów z przeszłością bardzo jeszcze krótką, lecz w której nic nie zapowiadało polotu ku gwiazdom lub pociągu ku otchłaniom...

O! Od dawna zszedł już z tej ziemi w krainę nieznaną, która tam kędyś po drugiej stronie rzeki życia leży, zszedł z niej po długich cierpieniach wygnania, ubóstwa, czysty do końca, mężny do końca, gwieździe młodości swej i otchłani, która mu życie pożarła, błogosławiący do końca. Zszedł z tej ziemi samotny, bezdzietny... i wolno mi imię jego wymówić, a tobie je głośno powtórzyć. Może na nie jak na mogiłę spłynie promień jakiego rozrzewnionego oka, które samo kocha gwiazdy i otchłanie...

Podniósł się z krzesła Gustaw Radowski i z oczyma jak dwa błękitne płomienie goręcymi rzekł:

— Nie tylko zgadzam się, ale skoro to dla partii ma być korzystne, cieszę się, że właśnie te moje kochane Dziatkowicze korzyści tych dostarczyć mogą. I w zamian o jedno tylko pana naczelnika proszę, aby mi było pozwolone...

Zmieszał się jakoś, spuścił oczy, może przed tkwiącym w nim wzrokiem naczelnika. Jednak po chwili dokończył:

— Aby mi było pozwolone należeć w partii do oddziału jazdy...

Teraz znowu zaśmiały mu się oczy i usta.

— Bo że będę służył w partii, to już dawno postanowione i wiadome. Jakże! Setnikiem przecież jestem. Stu ludzi chętnych do pójścia zebrałem, a sam miałbym nie pójść! To przecież przez głowę nigdy mi przejść nie mogło. Ale proszę, aby mi wolno było służyć w jeździe, bo ja na koniu to do wszystkiego, a pieszo to jakoś... tak jakoś... Ale proszę tylko — i jak pan naczelnik rozkaże, tak się stanie. Tylko to jeszcze powiedzieć muszę, że mam konia El Raszyda, takiego, co to w sam raz... do takiej służby w sam raz...

Zmieszał się znowu, umilkł.

Naczelnik zaś z twarzą wciąż ku niemu podniesioną tkwił w nim wzrokiem i na usta — pierwszy raz, odkąd tu przybył — wykwitać mu poczynał uśmiech. Wykwitał, bo dziwnie świeży był, szczery, perłowy od rzędu zębów białych, które w nim błysnęły. Przy tym łuna radości twarz mu opłynęła i z czoła spędziła posępną zmarszczkę. Z wesołym prawie gestem zawołał:

— Ale owszem, zgadzam się, aby pan służył w jeździe i nawet...

Tu głos jego nabral tonów zupełnie wesołych.

— Ponieważ pan ma konia El Raszyda, co to w sam raz, mianuję pana swoim adiutantem.

Aż po brzegi złotych włosów z radości zarumieniony młodzieniec przed naczelnikiem złożył głęboki ukłon i siadając, ku wysokiemu brunetowi, którego czasem Scypionem nazywano, z porozumiewawczym skinieniem głowy rzucił zagadkowe słowa:

— A co, Feliksie! Widzisz! I ja z tobą...

Znać o czymś wąpili wspólnie i znać, że tamten wybierał się także do jazdy.

Ale teraz wstał z krzesła swego naczelnik:

— Skończone są na dzisiaj narady nasze. Mówcą nie jestem. Mniemałem zawsze, że słowem najwymowniejszym z tych, którymi człowiek do świata przemawiać może, jest czyn. Jednak teraz, gdy Bóg pozwolił, że przystępuję do czynu, o którym zawsze marzyło serce moje, z serca wyrwywają mi się słowa, tylko co przez pana Orszaka powiedziane: „Sprawa nasza to sprawa boska”. To jest również prawdą, co pan Orszak powiedział, że niewola zabija dusze, a ja z tej prawdy wyprowadzam wnioski, że nikomu nie wolno zabijać dusz ludzkich i odwrotnie: duszom ludzkim nie wolno pozwalać, aby ktokolwiek je zabijał. Oto jest prawo nasze do walki, którą przedsięwzięmy i oto dlaczego sprawa nasza jest sprawą boską. Nie na podboje i nie po łupy idziemy, ale po odbiór wydzieranego nam dobra boskiego. Dobrem boskim — cnota ludzka, cnoty nie ma bez wolności. Jeżeli wygramy, wygraną naszą będzie zbawienie duszy narodu, jego czci i jego doczesnego szczęścia; jeżeli przegramy, rzeką krwi przez nas przelanej inni zapłyną do wolności. Ale jakkolwiek będzie nasz koniec, powinność naszą czynimy. Z nadzieją czy przeciw nadziei, ale z prawdą i z Bogiem! My z prawdą i ze sprawiedliwością, więc z Bogiem. W tym nasza moc. My z Bogiem.

Nie patrzył na nikogo, spojrzeniem błędził w górze i choć umilkł, wargi mu wewnętrznymi słowami jeszcze drgały, gdy twarz i postawę oblewała jakaś od ziemi oderwana, ze słońce mistycznych wyblęśla ekstaza. W takich ekstazach wbrew ziemskim rachubom rodzą się niezłomni książęta czynu i z pieśnią triumfu w duchu, wbrew męczarniom ciała, umierają męczennicy.

Wieniec twarzy od wzruszeń i znużenia bladych otaczał długi stół i w sali, którą zaległo milczenie, zegar począł wybijać godzinę. Z białego oblicza w czarnej obwódce, spod sufitu patrzącego wypłynęły cztery z kolei dźwięki metaliczne, głębokie.

Czy oczy ludzkie długim czuwaniem zmęczone były, czy lampy przygasaly, ale rzęsiście ich światło zdawało się teraz rozpraszać w kurzawę mnóstwa świecących atomów, które przed oczyma migotały, drgały, mając linie otaczających twarzy i przedmiotów. Płomienie dopalających się świec stały w wysokich kandelabrach wielkie, jaskrawe, z nitkami dymu u chwiejących się wierzchołków. Powietrze nasycone oddechami ludzkimi, może częstszymi, niż to bywa w momentach powszednich, stało się duszne i gorące.

Ktoś zbliżył się do jednego z okien, na oścież je otworzył i za tym otwartym oknem ukazał się dziw, cud: dziwnie cudny i piękny poranek wiosenny.

Niepokalany błękit nieba, jasna zieloność ogrodu osypana brylantami rosy. Białe gwiazdy narcyzów nad trawami, mnóstwo fiołków w trawach, rozłożyste jabłonie w różowym i grusze w białym rozkwicie. Potoki woni i fale powietrza napojonego rosą. I wszystko od nieba do ziemi, od szczytów drzew wysokich do drobnych traw i kropel rosy, w wielkim, pełnym, złotym świetle słońca wyraźne, wypukłe, wyodrębnione, jasne, pozłoczone.

Od doznanych wzruszeń drżące i wzajem wspierające się o siebie, my, dwie kobiety, prawie dzieci, szeroko otwartymi oczyma patrzyłyśmy to na ów rajski obraz za oknem, to na salę napełnioną światłem żółtym, sproszkowanym, migocącym, dymnym i twarzami ludzkimi o czołach zbrudzonych i zmęczonych oczach...

Poemat i dramat.

Raj i czyściec.

Pogoda i burza.

## II

Kto wiosny owej przesypiał całe noce? Kto znał wczesne i spokojne sny?

O późnej, nocnej godzinie po grobli, która wśród dwu rzędów wierzb wznosiła się nad dwoma rozłogami łąk, pędził na koniu człowiek szarą burką owinięty. Całą szybkością bystrego konia pędził, u końca grobli obszerny dwór okrążył, na dziedziniec jego jak wichur wpadł i konia przed ganek domu osadził.

Na ganku szarzało w zmroku kilka postaci męskich i bielalo kilka sukien kobiecych. Głos jakiś zapytał:

— Kto?

Jeździec, z konia zaskakując, odpowiedział:

— Posłaniec.

Wszedł na ganek i cicho mówić zaczął:

— Partia z Działkowicz ku lasom horeckim idzie i na dwie godziny we dworze, z którego posłaniec przybywa, stanęła.

Naczelnik partii wzywa najbliższych zamieszkujących członków organizacji, aby dla pomówienia z nim o rzeczach ważnych przybyli. Jak najprędzej, gdyż ani minuty dłużej nad dwie godziny partia się tam nie zatrzyma. Kilku takich jak on posłańców rozleciało się w strony różne, jemu tu pędzić co koń wyskoczy rozkazano. I tak samo powracać z uwiadomieniem, czy wezwani przybędą. Jest jeszcze kartka do pani...

Nie skończył mówić, gdy już para ludzi, mężczyzna i kobieta, ku stajniom przez dziedziniec biegła. W moim ręku szeleściła kartka z pięciu słowami:

„Przyjeżdżaj także. Jesteś potrzebna. Stefania”.

Służbę stajenną budzić? Strata czasu. Do powozu konie zakładać? Kto by tam teraz myślał o powozach!

Kilka minut upłynęło i już przed stajnią stał koń do linijki zaprzężony.

Nie wiesz, co to linijka? Taka gładka, zwyczajna deska, pomiędzy czterema kołami położona i sukнем obita. Nic więcej. Wąskie to, niezmiernie lekkie, dla gospodarzy do

jeżdżenia po drożynach i miedzach polnych... Kobiety rzadko tym jeździły, jednak czasem, w takiej postawie, jak jeżdżą na koniu.

Towarzysz mój ujął lejce, ja za nim już siedziałam.

Trzy wiorsty drogi tylko. Linijka nasza jak strzała pruć powietrze, turkocąc po twardej grobli, prawie doganiając pędzącego przed nią na koniu posłańca. Noc była gwiazdzista, trochę wietrzna. Wierzby lekko chwiały się i szemrały po obu stronach drogi.

Wpadliśmy na wielki dziedziniec latarniami oświetlony, mrowiskiem ludzkim pokryty.

Latarnie na drzewach, na słupach u ścian budynków i w czerwonym ich świetle mrowisko ludzkie poruszające się i gwarne.

Czamy, bluzy, krótkie sukmany, szerokie pasy, skórzane, wysokie obuwia, czapki jak łań kwiatów, amarantowe, szafirowe, białe. Na plecach strzelby, u pasów pistolety. Duży pęk kos pionowo w długie trzony oprawionych stał oparty o ścianę domu i w świetle latarni nad nim wiszącej błyszczał jak stalowe słońce. Ruch, gwar, szum ludzkich kroków i głosów. Nawoływanie, wydzwaniające imiona i nazwiska, rozmaite rozmowy, tu i ówdzie wybuchy śmiechu. W mrocznych głębiach dziedzińca, pod gospodarskimi budynkami konie rżą i parszczą, rysują się mętne sylwetki wozów i ludzi, w pobliżu domu, na przestrzeni najlepiej oświetlonej, pobrzękują nad długimi stołami naczynia gliniane i szklane.

Mnóstwo postaci i twarzy; ogromna różnorodność ich zabarwienia i wyrazu. Są tu synowie domów zamożnych, dzieci dostatku i elegancji, z niestartym piętnem ich w poruszeniach i odzieży. Są młodzi uczeni, dzieci myśli i wiedzy, z niepozbytym ich światłem na czołach i oczach. Są wszyscy niemal strażnicy lasów o barach szerokich, wzrokach nieco ponurych, lecz bystrych, do przebijania gęstw i mroków nawykłych. Jest cała młodzież zagród drobnoszlacheckich, rażna, śmiała, o uśmiechach łatwych i zamasyzowanych ruchach. I jest jeszcze nieco postaci wątłych, najmniej wyraźnych, zdających się być cieniami, które idą za tamtymi. Tych, z miasteczek, gdzieś z wsi chłopskich, z jakichś może dróg losu obłądnych i nieszczęśliwych, przywiodły tu hasła, które sennymi duszami wstrząsnęły, nadzieje przyszłości lepszej, które czarem spłynęły na złą teraźniejszość.

Kiedy linijka nasza przez tłum ten z wolna się przesuwiała, z ganku domu zbiegła i naprzeciw niej biegła wiotka, ładna kobieta w białej sukni, za ręce mnie z linijki zeskakującą pochwyciła, mówiąc śpiesznie:

— Przyjechałaś? To dobrze! Daję zlecenie mnie i tobie, przez nas innym. Chodź prędko!

Weszliśmy razem do wnętrza domu, które w porównaniu z dziedzińcem wydawało się dziwnie puste i ciche.

Sala jadalna oświetlona była, ale pusta. Nikogo w niej nie było. Tylko białe oblicze zegara patrzyło na nią z wierzchołka czarnej kolumny i u otwartych okien wiatr poruszał firankami.

W przyległym salonie kilku ludzi, przy jednym ze stołów siedząc, półgłosem rozmawiało. Zaraz w progu rzuciły mi się w oczy kruczoczarne włosy Traugutta. Gdyśmy się powoli i trochę nieśmiało zbliżyły, on właśnie mówił:

— Sam nie chciałbym tego, ale jakże inaczej szpiegostwo, donosicielstwo ukrócić? Prawa wojskowe dla postępów takich zawsze i wszędzie mają karę śmierci. Jednak czy zastosowanie jej w tym przypadku nie pociągnie skądinąd następstw dla sprawy szkodliwych?

Gospodarz domu, z brwią zmarszczoną, odpowiedział:

— W okolicznościach, wśród jakich się znajdujemy, objaw energii i rzucenie postrachu na żywioły nam nieprzyjazne wydają mi się konieczne...

— A ja — przerwał Orszak — byłbym za okazaniem wspaniałomyślności, która może ująć nam serca.

— Ideologia! — sarknął gospodarz domu. — Odwykliśmy od energicznych czynów i jak „mdłe panienki” gotowiśmy dostawać spazmów na widok kropli krwi.

— Zdaniem moim — ozwał się ktoś inny — sam pan naczelnik o losie człowieka tego rozstrzygać powinien. Tylko. Do nas to nie należy.

— Byłoby to pilatowym umywaniem rąk? — z najsarkastyczniejszym ze swych uśmiechów rzucił gospodarz domu i mówił dalej:

— Jesteśmy naturalnymi doradcami naczelnika i co do mnie, w charakterze doradcy, głosuję za okazaniem energii, za rzuceniem postrachu, czyli — za śmiercią szpiega i donosiciela.

Byli tak bardzo rozmową zajęci, że zaledwie teraz nas spostrzegli.

Po krótkich powitaniach gospodarz domu bez żadnej zwłoki przedstawił to, czego organizacja od nas żądała. Były to zadania mające związek z potrzebami ekonomicznymi partii, właściwie z pewnymi ich szczegółami, które teraz dopiero, po jej zgromadzeniu się, na jaw wystąpić mogły i wystąpiły. Trzeba było usunąć pewne braki, zadośćuczynić większym niż rachuby poprzednie wskazywały wymaganiom, zapobiec mogącemu zdarzyć się nieprzygotowaniu i niedostatkowi. Rzeczy tych drobnych i zarazem dość trudnych kobiety dokonać mogły z większą niż mężczyźni łatwością, z mniejszym niebezpieczeństwem.

Szło nie o jedną ani o dwie kobiety, ale o cały legionik kobiecy, roztropnie i trafnie dobrany. Na względ ostatni kilka głosów nacisk położyło. Omyłki w wyborze mogły pociągnąć z sobą następstwa nieobliczone.

Przymiotami legioniku, mającego krzątać się po okolicy rozległej i nad którą niezawodnie po wystąpieniu partii nieprzyjaciół straż baczna rozciągnie, musiały być: zwinność ruchów, ich spokój i ich niejako naturalność. Druga cecha niezbędna: umiejętność ujmowania dla roboty swojej serc i chęci ludzkich. A trzecie: umiejętność milczenia. I czwarta jeszcze: odwaga.

— I przytomności umysłu w żadnym wypadku nie tracić! — z przyjacielskim ku nam uśmiechem dodał Orszak.

Słuchałyśmy szczęśliwe, przejęte, skupione; w piersiach grały nam bohaterskie pieśni, a po głowach już przelatywały myśli: kto, gdzie, jakim sposobem? Ku mówiącym pochylone, w słowa ich zasłuchane, z ogniami na policzkach, bez żadnej o tym wiedzy swojej mocno ścisnęłyśmy się za ręce.

Wtem usłyszałyśmy głos Traugutta. Spojrzenie jego zza szkieł okularów spoczywało na nas uważne, przenikliwe, lecz nie surowe; owszem, wewnętrznym uśmiechem rozjaśnione. Do otaczających rzekł:

— Paniom tym w zupełności zaufać można.

A potem do nas:

— Z ufnością powierzamy wam te na pozór drobne, lecz w rzeczywistości ważne interesy polskiego żołnierza.

I tak jak wówczas, po młodzieńczym i entuzjazmu pełnym oświadczeniu właścicielki Działkowicz, usta rozkwitły mu świeżym, szczerym i perłowym uśmiechem. Snadź uśmiechy na tę twarz surową najładniej wywołał widok młodości, która na kształt świecy przed ołtarzem paliła się przed obliczem ideału płomiennie i prosto.

Jeszcze kilka zapytań, odpowiedzi, przestroż, uwag i uczułyśmy, żeśmy tu już niepotrzebne.

Pociągała nas ku sobie wielka sala stołowa. Nie była już pusta. Kilkunastu ludzi weszło tu z rojnego dziedzińca i nietrudno było odgadnąć, że znajdowali się pod wpływem wzruszenia, może nawet wzburzenia, które na wodzy trzymane, objawiało się jednak w szepcach, gestach, wyrazach twarzy.

Byli tam bliscy znajomi nasi, towarzysze zabaw i zajęć, krewni. Uderzyła nas zmiana, która w nich zaszła. Wydawali się wzrostem wyżsi i wyrazem więcej męscy niż przedtem. Postawy i poruszenia ich nabrały energii i prostoty, oczy stałego i silnego blasku. Strzelb przy sobie nie mieli; tylko u pasów pobłyskiwały pochwy kryjące w sobie różną krótką broń.

Był tam ze swym rzymskim profilem twarzy i wzrostem wszystkie inne przenoszącym, Scypionem czasem zwany, Feliks Jagmin, był Radowicki szafirową konfederatkę z fantazją u boku trzymający, był demokratą ów zacięty, świeży eks-student Florenty, byli Artur i Henryk Ronieccy, synowie ojca, który za białego ogłoszony, przez to znieubiony, teraz dwóch synów miał w partii; mały Tarłowski, dziwny chłopak, biały i różowy jak panienka, botanista uczony, a z dobrej woli nauczyciel dzieci chłopskich w pobliskim miasteczku; dwaj młodzi medycy, którzy w partii funkcję lekarzy obozowych pełnić mieli; i inni jeszcze, dobrze znani, bliscy...

Rozmawiali z sobą głosami przytłumionymi. Można było dosłyszeć słowa:

— To niepodobna! To stać się nie może.

— Pójdźmy! Przedstawmy! Powiedzmy zdania nasze!

— Od tego rozpoczynać? Nigdy! Byłoby to dla nas wstydem...

— Falszywym krokiem względem ludu...

— Kimkolwiek jest, człowiek ten pochodzi z tutejszego ludu, na tej ziemi się urodził.

I wiele innych zdań oderwanych, z których niepodobna było wyrozumieć, o co chodzi, ale które objawiały uczucia zatroskania, obrzydzenia, niepokoju, na wodzy trzymane, powściągane, jednak wybiegające na zewnątrz w gestach ramion, w marszczeniach brwi, w błyskach oczu.

Zamieniłyśmy z nimi przyjacielskie uściśnienia dłoni i zapytałyśmy, o co idzie, co stało się lub ma się stać. Śmiało mogłyśmy zapytywać. Pomiędzy nimi i nami, wobec idei i działań w imię jej przedsięwziętych, panowała równość zupełna.

Florenty cały w ogniu, z oczyma zmartwionymi, jedną z nas za rękę pochwycił.

— Chodźcie! Pokażę. I opowiem.

Szłyśmy z nim na dziedziniec. Poszli za nami Artur Roniecki i Marian Tarłowski.

Prędko przez ten dziedziniec przebrnąć było teraz niepodobna. Wszędzie gromadki i tłumiki ludzkie, ruszające się, rozmawiające.

Mnóstwo po drodze przywitań, krótkich rozmów, próśb o dobre życzenie na drogę, o dobrą pamięć dla odchodzących w drogę. W drogę bliską, a jednak daleką i dla wielu bezpowrotną. Nieraz oczy zapiekły nas od łez, kilka razy spostrzegłyśmy w innych oczach szklistą ich powłokę. Ale były to sekundy, po których wracała raźność gwarna i wesoła, w uczuciach wezbranych, w wyobraźni rozkołysanej źródło swe mająca.

Raz, gdyśmy tak szły, witając i razem żegnając, ściskając ręce ludzi, zamieniając z nimi krótkie słowa, po dziedzińcu rozległ się huk przeraźliwy. Jakby coś ogromnego upadło i rozbilo się na mnóstwo szczątków, jakby mnóstwo metalowych ostrzy wzajem o siebie uderzyło. Były to kosy, które wskutek nie wiedzieć jakiego wypadku ześliznęły się po ścianie, o którą były oparte, i upadając sypnęły w powietrze garść dźwięków, tak samo jak ich żeleźca ostrych. Podniesiono je natychmiast i umieszczono na miejscu uprzednim, gdzie znowu w świetle latarni rozbłysły jak stalowe słońca.

Ale przez wypadek ten, czy może przez wrażenie na niektórych sprawione, wywołany, rozległ się w powietrzu zbiorowy wybuch śmiechu.

Jednak im więcej wraz z towarzyszami swymi oddalałyśmy się od domu, tym więcej tłum ludzki rzedniał i tym wyraźniej w gwiaździstym zmroku występowały przed nami ściany budynków gospodarskich i otaczające je rozłożyste drzewa. Ze sfery światła i hałasu weszłyśmy w sferę cienia i względnej ciszy. Na znacznej przestrzeni paliło się tu tylko kilka latarni, w których świetle dostrzec było można sylwetki osiodłanych koni i w milczeniu dokoła nich poruszających się niewielu ludzi. Gwiazdy za to wyraźniej niż tam iskrzyły się na niebie, wiatr szeleścił w czarnych drzewach i od traw podnosiła się rzeźwiąca wilgoć rosy.

Prędko obok nas idąc Florenty opowiadał:

— Zaledwie wyszliśmy z Dziatkowicz, drogę nam zabiegł chłopak wiejski, może trzynastoletni i cały drżący, przelękniony, do Jagmina, który z połową jazdy na czele partii jechał, żalonym głosem wołać zaczął:

— Stójcie, panoczku, stójcie! Zatrzymajcie się, jeżeli Boga kochacie!

Jagmin konia powstrzymał, nam to samo uczynić rozkazał i z siodła pochylił się ku chłopcu, który mu jakąś zapisaną kartkę papieru podawał. Rozwinął kartkę, przeczytał i nam pokazał. Było to ni mniej, ni więcej, tylko oznajmienie posyłane do wojska, że wyszliśmy z Dziatkowicz, ilu nas jest, w jakim udajemy się kierunku. Wszystko wysłedzone, wyspiegowane i donoszone. My do chłopca:

— Kto jesteś?

— Sługa dziakowy.

— Gdzie mieszkasz?

— U dziaka.

— Dlaczego nie u rodziców?

— Nie mam rodziców, pomarli.

— Kto ci tę kartkę dał?

— Dziak.

Kazał dziecku co tchu z tą kartką do miasteczka biec i oficerom ją oddać. Widzicie, gałgan jaki! Nie chłopak, ale dziak! Chłopaka Jagmin na konia podniósł, przed sobą na siodle posadził i zapytuje:

— Czy wiesz, co w tej kartce napisane?

— Wiem — odpowiada.

Słyszał, jak dziak żonie swojej czytał.

— Dlaczegoś nam ją oddał?

Tu dzieciak rozplakał się, zmęczyły go już pytania, czy czegoś zląkł się, Jagmin po włosach go pogładził, w głowę pocałował i znowu:

— Dlaczegoś nam ją oddał? Nie bój się niczego. Dobrześ uczynił i dziękujemy ci za to, ale dlaczego?

Spuścił kudłatą łbinę i tak cicho, że ledwieśmy dosłyszeć mogli:

— Jak zobaczył was, to pożałował... Póki nie widział, to leciał tam, gdzie dziak kazał, a jak zobaczył, to pożałował, bo... bo... dziak przed żoną swoją mówił, że oni was wszystkich jak kaczki wystrzelają...

— Miał po trochu rację dziak! W czystym polu i niespodziewanie. Ale co o tym dziecku chłopskim myślicie? Jakie serce złote? Jaka natura tkliwa?

— Jeżeli nie kłamał! — flegmatycznie odezwał się idący za nami Artur Roniecki.

Florenty oburzył się.

— Że chłopskie dziecko, to już zaraz kłamać miało! Wstydz się, Arturze!

Tamten z jednostajną wciąż flegmą odpowiedział:

— Nie dlatego, że chłopskie, ale dlatego, że ludzkie dziecko, a temu, co mówią dzieci ludzkie w ogóle, niedowierzać trzeba...

— Także filozofia! A sam całowałeś chłopca, aż mlaskało...

— Sentyment we mnie obudził...

— W nas wszystkich.

Odebrał go od Jagmina Żemirski, od Żemirskiego tu obecny filozof, od filozofa ja go w obroty wzięłem, ode mnie ktoś inny. Dziw, żeśmy go na śmierć nie zacałowali. Ośmielił się, prawie rozswawolił, śmiać się zaczął i różnych części odzieży naszej dotykać:

— Jakie u was czapki ładne! A jakie pasy! A strzelby, a jej! Weźcie mnie z sobą... strzelbę dajcie...

Rozkosz nie malec! Gdyby był choć trochę starszy! Ale bęben taki! Za wcześniej go jeszcze na bale z sobą brać!

— Ale cóż z kartką?

— Jagmin zawrócił konia i z nią do naczelnika, a naczelnik jak z bicza trzasł, natchmiast: „ten, ten, ten, do dziaka niech jadą! Ręce i nogi mu związać, oczy zawiązać, tu przywieźć! Marsz! Marsz!”. U niego wszystko tak: w trybie rozkazującym, w tempie szybkim. Dziak, bestia, bliźniętko mieszkał, wycieczka kwadransa nie trwała. Wrzeszczał, kłął, pluł, drapał, aż pistolety musiały z pochwę wyleźć. To pomogło. No i jest tutaj z nami.

Tu głos mu nieco ścichł, spowaźniał:

— Powieszony ma być!

Zadrżałyśmy obie i usłyszałyśmy za sobą szczególny dźwięk, wychodzący z ust Ronieckiego, jakieś przeciągłe: pfuuu! Wyglądało to na powstrzymaną chęć splunięcia.

A obok Ronieckiego idący mały Marian Tarłowski szepnął:

— Zły początek! Bądź co bądź... człowiek bezbronny!

— Cicho, nie mów nic! Może posłyszeć!

Stanęliśmy jak do ziemi przykuci, w milczeniu.

O kilka kroków przed nami stał pod rozłożystym drzewem prosty wóz chłopski w jednego konia zaprzężony i w pobliżu woza szarzały o drzewo oparte dwie rosłe postacie stróżujących nad nim ze strzelbami na plecach powstańców.

Na wozie wyraźnie w gwiaździstym zmroku widać było cienkiego i wysokiego człowieka, w długim, aż prawie do stóp ubraniu, z rękoma u piersi owiązanymi i ze szmatą białego płótna, która zasłaniała mu wraz z oczyma znaczną część twarzy. Głowę miał

okrytą tylko gęstymi, siwiejącymi włosami, siwiejąca również broda opadała mu na związane sznurami ręce. Sploty sznurów krępujących nogi ukazywały się spod skraju długiej odzieży.

Jeżeli kiedy człowiek ten — jak opowiadał Florenty — wrzeszczał, pluł, kłął, drapał, teraz mu to już przeszło. Teraz już wiedział, że znajduje się na samym dnie niedoli, że nic go nie uratuje, że lada chwila śmiercią ohydną zginąć musi. Śmierć tę widział może pod przytwierdzonymi do źrenic powiekami, wiszącą i kołyszącą się na tych samych sznurach, których twarde obręcze na nogach i rękach swych uczuwał. Może tułały się mu po głowie przypomnienia różne i z serca wyciskały łzy, może to serce piekło ogień nienawiści i po członkach rozlewały się gryzące strumienie żółci; najpewniej śmiertelny strach krople krwi ścinał mu w sople lodów i włókna nerwów stężał w nieme od przerażenia struny.

Cokolwiek czuł i myślał, był w tej chwili upostaciowaniem tej męki, która nie ma ani głosu, ani słów, ani jęków i tylko jak wiatr niewidzialny ciałem człowieka kołysze. Na wozie siedząc kołysał się nieustannie. Z siwiejącymi włosami na głowie i u piersi, z białą chustą na twarzy to w tył, to naprzód odginał swą cienką i wysoką postać, miarowo, nieustannie, w milczeniu kamiennym. Widok zaś tego miarowego, powolnego, wiecznego kołysania się daleko więcej, niżby to zdziałać mogły krzyki i przekleństwa, patrzącym krew w żyłach zatrzymywał, w pamięci ryl się na zawsze.

Nie wszystkim jednak patrzącym. Jeden z tych, którzy ze strzelbami na plecach pod drzewami stali, odezwał się głosem od śmiechu nabrzmiałym:

— Pokłony wybija... jak przed ikoną!

Zaśmieli się obaj. Leśni strażnicy to byli, chwaty dzielne i chłopcy uczciwe, lecz z nie-  
tkniętą jeszcze w duszach pierwotną siłą nienawiści, zacięte i mściwe, z tą siłą, która podobno w wojnach zapewnia zwycięstwo.

Roniecki z cicha ich upomniał:

— Nie trzeba śmiać się z nikogo, kto popadł w nieszczęście.

— Oho! A w jakie nieszczęście szelma ten chciał nas wprowadzić!

Mówiąc to nie śmiali się już, raczej warczeli. Oko za oko, ząb za ząb. Zemsta straszliwa, lecz kto na wojnę idzie, musi ją z sobą brać, a my i ci najbliżsi towarzysze nasi szliśmy na wojnę bez niej... Już nam było niepodobna dłużej na mękę człowieka tego patrzeć.

Wracaliśmy do domu śpiesznie, w milczeniu. Raz tylko towarzyszka moja przemówiła:

— A cóż stało się z chłopcem? Jeżeli tam powróci, prześladować go będą.

— Ale gdzie tam! Jagmin tu go na koniu swoim przywiózł i stąd zaraz do rodziców odesłał, o opiekę nad nim prosząc. Będzie mu tam jak w niebie... syn prosił...

W sali jadalnej, zaraz u drzwi, towarzyszków naszych wymówki i zapytania spotkały:

— Gdzieżeście byli? Czekamy na was! Do naczelnika idziemy, ale bez ciebie, Arturze, nie można. Ty przemówisz...

— Dlaczego ja?

— Boś najspokojniejszy, a tu trzeba...

— Dobrze w garści się trzymać. Macie rację. Porafię.

— Idźmy więc. Historia rzeczywiście przykra.

— Tarłowski słusznie mówi: zły początek!

— Pętlicą wisielczą ręce brudzić!

— Bezbronno zwyciężać...

— To jest syn chłopski!

— Jednej z chłopami wiary!

— Obruszmy przeciwko sobie lud!

— Chodźmy! Czas ucieka!

— Chodźmy!

Do salonu we czterech weszli i przed Trauguttem, który wśród kilku członków organizacji siedział, w postawach pełnych uszanowania stanęli. Postawy ich były uszanowania pełne, ale w oczach, na czołach, na wargach coś takiego im drgało, paliło się, migotało, że wprzód, nim słowo z ust któregośkolwiek wyjść mogło, Romuald Traugutt gestem energicznym ramię ku nim wyciągnął i głowę podnosząc rzekł:

— Niech panowie nie mówią. Proszę nie mówić nic. Wiem, o co idzie.

Było to bystre przeniknięcie tych głów zapalonych i tych niezaprawionych do posłuszeństwa woli; było to przytomne zapobiegnięcie słowu jakiemuś, które mogło z ust się zerwać, niosąc z sobą konieczność kary i niepodobnego do naprawienia nieszczęścia.

Przez chwilę milczał, prosto w twarz ich patrząc, aż z tym samym spokojem w głosie, którego miał pełne oczy i postawę, mówić zaczął:

— Idzie o człowieka, który dopuścił się względem nas szpiegostwa i donosicielstwa. Prawo wojskowe ma dla postępków takich karę śmierci. Tym razem jednak, z przyczyn mnie wiadomych, ulaskawiam tego człowieka. Niech odwieziony będzie o wiorst kilka od domu tego i tam wśród pola pozostawiony. Zasłony z oczu ani więzów z rąk i nóg nie zdejmować. Panowie Jagmin, Radowicki i Roniecki wóz z jeńcem eskortować będą i natychmiast po spełnieniu rozkazu mego tu powrócą.

Na zegarek spojrział:

— Partia wychodzi stąd za pół godziny.

Trzej wymienieni przez naczelnika młodzieńcy złożyli głębokie ukłony i śpiesznie dom opuścili. Czwarty, Florenty, obok nas przechodząc do uszu nam szeptem rzucił:

— Co za głowa! Z oczu nam awanturę wyczytał i sam niby tak postanowił.

Czy niby, czy istotnie sam tak postanowił, odgadnąć trudno było. Długo siedział zamyślony i milczący. Gospodarz domu pierwszy przerwał milczenie. Czuł się widocznie niezadowolony, po ustach mu szpilki ironii biegały.

— Będziesz miał, panie naczelniku, robotę długą i trudną.

— Z czym?

— Z poskramianiem fantazji naszych, sentymentów naszych, warcholstwa naszego.

Śmiem zapytać: czy dobrze się stało, że ustąpiłeś?

Podniósł głowę Traugutt i twardo odpowiedział:

— Nie ustąpiłem; ostateczną decyzję tylko powziąłem.

Potem łagodniej już nieco dodał:

— Człowiek ten, do godności urzędu cerkiewnego podniesiony, jest przecież chłopem. Młodzieńcy ci mieli słuszność. Nie od mordowania chłopów zaczynać nam należy. Nie ustąpiłem przed nimi, ale zdanie ich po rozwadze podzieliłem.

Wstał z krzesła. Odbicia światła w szklach, które na oczach miał, iskrzysto od ruchu głowy zapłonęły.

— Ilekroć zgodnie z przekonaniem swoim będę mógł zapobiec wybuchowi warcholstwa, zapobiegnę mu; ilekroć przekonaniu memu w drodze on stanie, poskromię go.

Przy ostatnich słowach ręka jego ruchem pomimowolnym spadła na zawieszony u pasa pistolety.

Trzej jeźdźcy pod ganek domu podjechali, z koni zaskoczyli.

— Siedzi sobie niedaleko drogi na zagonie — flegmatycznie opowiadał Roniecki — i czeka, aż go kto przechodzący albo przejeżdżający z pęt wyzwoli. Zapewne stanie się to niebawem, a im później się stanie, tym dla nas lepiej będzie. I jedno tylko mam do zarzucenia ekspedycji, to, że jakimś sposobem opaska kupidynowa z oczu mu się zsunęła i że nas ujrzał, a ujrzawszy poznał.

— Cóż z tego wyniknąć może?

— Ano to tylko, że w razie... okoliczności nieprzyjaznych my na jego miejscu, jak leśnik Grzegorz się wyraża, zadyndamy!

Poszli naczelnikowi oznajmić, że rozkaz jego spełniono.

Latarnie na dziedzińcu i gwiazdy na niebie przygasły, wczesny świt wiosenny rozświetlił powietrze, gdy Traugutt w otoczeniu cywilnych towarzyszy swych na ganek domu wyszedł. Zaraz też po dziedzińcu rozległ się donośny, metaliczny głos jego:

— W szeregi formuj się! Jazda na koń!

Śpiesznie Radowicki do wodza się zbliżył i z uszanowaniem mówił:

— Żołnierze zapytują, czy wolno im dzień i pochód rozpocząć odśpiewaniem hymnu.

Wódz głową znak potwierdzający uczynił, adiutant zaś z brzegu ganku na cały dziedziniec krzyknął:

— Śpiewanie pozwolone!

Na dziedzińcu odbywały się szybkie, milczące ruchy. Dziesiątnicy i setnicy piechotę w szeregi ustawiali, jazda wsiadała na przyprowadzone od stajen konie.



Traugutt zawołał:

— Jagmin z połową jazdy naprzód!

Przebiegła przed gankiem garść jeźdźców na pięknych koniach, z szablami u boków, konfederatkami nas żegnając i u początku drogi, która z dziedzica wychodziła w pole, jak wryta przed szeregami pieszymi stanęła. Druga, zupełnie do tamtej podobna, stała za dwoma nieco wyosobnionymi i na siodłach nieruchomymi jeźdźcami. Byli nimi wódz partii i jego młody adiutant.

Chwila milczenia, kamiennej ciszy porannej w powietrzu coraz bielszym od szybko powstającego dnia, aż na znak dany przez wodza stanął w strzemionach młody adiutant i w ciche, białe powietrze rzucił okrzyk dźwięcznego głosu:

— Naprzód! Marsz!

Wtedy jak fala, która szumnie, lecz poważnie płynie, zaczęli odjeżdżać, odchodzić. Stąpania ludzkie i końskie szemrały głosem przyciszonego wiatru i nad szumem tym wybuchnęła pieśń kilkuset piersi męskich.

Z pieśnią tą szli i jechali powoli, równo, w porządku niezmaconym, pomiędzy dwoma rzędami strzelistych topoli, naprzeciw jutrzence, która za topolami szlakiem różanym daleki skłon nieba powlekała.

W błyskach słonecznych, które na szlaku jutrzenki drgać poczęły, płynęła nuta i brzmiały coraz dalsze słowa pieśni.

Ganek domu pełen ludzi wezbrał silnym biciem serc i szeptem błagalnym:

— Boże, błogosław!

Byli tam tacy, którzy ramiona ze splecionymi dłońmi ku oddalającemu się wyciągali, i tacy, którzy oczy zasłaniali dłońmi. Orszak w niebo patrzył. Z czoła gospodarza domu wyniosłość zniknęła bez śladu i przewlekły się po nim chmury ciężkich myśli, gdy usta, z których ironia bez śladu zniknęła, szeptały:

— Boże, zmiłuj się!

...Nie pobłogosławiłeś, Boże! Nie zlitowałeś się, o, Boże! Dlaczego? Czy tam, w światłości niebieskiej, dowiedzą się o tym ci, którzy tu żyli i pomarli w piekielnej ciemności?

### III

Kto wiosny owej spostrzegął kwitnące róże? Kto słuchał śpiewów słowiczych?

Dla kwiatów i dla pieśni, dla wiosennych marzeń, zachwyków, spoczynków nie było czasu, woli, myśli, pamięci. Lasy płonęły.

Z horeckich lasów wylatywały częstsze wieści i rozlatywały się po przestrzeni szerokiej, budząc w sercach i głowach głębokie i wierne echa.

Poczta obywatelska w energicznym ręku Władysława Orszaka działała nieustannie, wiążąc powstańców ze światem i ludzi po świecie rozproszonych pomiędzy sobą. Człowiek ten, któremu nadaremna tęsknota do wysokiego życia czynu strawiła całą radość młodości, z radością teraz rzucił się w to życie i wraz z garścią pomocników swoich był wszędzie, dowiadywał się o wszystkim, ostrzegał, doradzał, świat uwiadamiał o tym, co dzieje się w głębi lasów, i głąb lasów o tym, co czyni i przedsięwzięcie świat.

Tym sposobem poznawane, wewnętrzne życie obozu budziło uczucie radości, nie wolne przecież od pewnego uczucia grozy.

Kędyś tam, na otoczonej odwiecznymi drzewami rozległej polanie leśnej odbywały się ćwiczenia wojskowe, nieustanne, pracowite, pilne, mające ochotników nieumiejętnych przemienić w żołnierzy sztuki swej świadomych. Wzbudzało to dla wodza szacunek powszechny i przy opowiadaniach o jego ciężkiej, niezmiernej pracy wzbijający się do stopnia czci. Ale zarazem panowała tam karność tak surowa, nawet sroga, że ludzi, dotąd sprawom wojskowym obcych, zdumieniem przejmowała. Ktoś tam — młodzieniec zaledwie dorosły — już z rozkazu wodza rozstrzelany został. Ktoś inny był losu takiego bardzo bliski. Za brak posłuszeństwa. A posłuszeństwo łatwe nie było, nie! Regulamin panował koszarowy czy klasztorny, z niezłomnym dla każdej godziny przeznaczeniem, z nieubłaganym dla każdego człowieka obowiązkiem, z karami, które u szczytu miały karę śmierci dla każdego, bez względu na to, czy bogaty był albo ubogi, uczony albo

prostak najmłodszy albo najstarszy. Wobec sposobu życia, żywienia się, uczynków nocnych, pracy wymaganej - zrównanie się doskonale stanów umysłowości, przyzwyczajęń. Ujęcie wszystkich woli w żelazną obręcz obowiązku, przeciągnięcie nad wszystkimi głowami nieugiętej linii równości. I groźby ciężkiej dla wszystkich, którzy by tę obręcz przekroczyć, nad tę linię wzbic głowy próbowali.

Ludziom, do wrażeń gwałtownych, do czynów krwawych, do dni surowo spędzanych nie nawykłym, jak „mdłym paniąkom” sprowadzało to na skórę dreszcze przerażenia, ale milczeli, czasem mówiąc tylko. „Tak snadź trzeba!” Niemniej wiedzieli wszyscy, że tam, w głębi lasu obok wroga zewnętrznego czai się i grozi ten jeszcze, którego człowiek każdy w samym sobie nosi.

Siwi ojcowie nisko pochylali zamyślane głowy i matki ukradkiem łzy z oczu ocierały. Po zacisznych kątach domów i w cienistych alejach ogrodów plakiwały dziewczęta. W księżycowe noce widzieć było można u okien otwartych klęczące postacie z twarzami podniesionymi ku osrebrzonemu niebu albo u słupów gankowych wyprężające się w powietrzu osrebrzone ramiona z załamanymi dłońmi. Gdy po długich czuwaniach domy usypiały, w ciemnych pokojach odzywały się krótkie krzyki, niewyraźne mowy, tęskliwie wołania. To krzyczeli, mówili, wołali ludzie śpiący.

Lecz w dni białe, na miejscach odkrytych, jawnie i głośno nikt nie wyrzekał nie płakał, nie buntował się przeciw niczemu. Duma wstąpiła w głowy i zabraniała im jawnej żalości, a w piersiach tkwiła i żalność gasiła ta radość tajemniczego pochodzenia, która sący się z ofiary przed ukochanym ołtarzem zabijanej i krew jej przemienia w oliwę.

Zresztą na biadania, płakania, szemrania czasu nie było.

Żwawo i pracowicie po dworach, dworkach, zagrodach wypiekano ciemne chleby, wyrabiano białe sery, sporządzano zasoby żywności trwałej, odzieży rozmaitej.

Powozów na drogach prawie wcale widać nie było, gęsto w zamian turkotały wozy i wózki, lekkie a pakowne, wyskakiwały z nich przed progami niskich domostw kobiety wysmukłe i białe, wpadały do świetlic, w których znad gospodarskich statków podnosiły się na ich spotkanie postacie kobiece inne nieco, rumiane, tęgie, ogorzale, lecz tak samo jak tamte jakimś słońcem świątecznym czy dusznym rozgrzane i rozpromienione.

Bywało wtedy w tych świetlicach, czyli pokoikach, izbach, mnóstwo gwaru złożonego z rozmów, zapytań, opowiadań, wzdychań, wykrzyków, pocałunków. Śmiały się z nas barczyste i silne szlachcianki, gdyśmy obok nich nad statkami gospodarskimi stojąc, do wspólnej roboty rękawy na szczupłych ramionach zawijały; śmiałyśmy się ze szlachcianek, gdy zapytywały, czy też młodzi panowie, co są w partii, na takim ciemnym, choć i smacznym chlebie poprzestawać zechcą. Śmiałyśmy się wszystkie razem, ilekroć robota jakaś bardzo się nam udała albo nie udała. A gdyśmy jaką dobrą nowinę bądź z lasu otrzymaną, bądź w gazetach wyczytaną, przyniosły i opowiedziały, zrazu radość powszechna wybuchła, potem chwiała się w niepokojach, wątpieniach, aż przemieniała się w rozrzewnienie złożone z radości, niepokojów, wątpień, nadziei i wyciągały się ku sobie wzajem ramiona wątłe i silne, białe i ogorzale, spotykały się w pocałunkach usta... Jak pierwsi chrześcijanie w Chrystusie kochałyśmy się w Polsce.

Zatrzymywały się również wozy i wózki nasze przed niższymi jeszcze niż tamte progami siedlisk leśników, sług dworskich, różnych ludzi małych, teraz dla oczu naszych wielkich, dla serc drogich. Zamieszkiwały je rodziny przez mężów, synów, braci opuszczone. Nie mogło być, by ciałom ich chleba, a duszom pociechy brakowało. Dzieci bywało tam mnóstwo; na odgłos naszych wózków jak na spotkanie dobrej nowiny wylatywały z wesołym hałasem. Smutne żony uśmiechami wdzięcznymi rozjaśniały twarze, a stare matki wlepiły w nas źrenice spłowiałe, gdy wargi jak uschłe liście drżały i szeleściły szeptem:

— Daj, Boże! Daj, Boże!

Potem wozy i wózki nasze, tak przedmiotami różnymi napełnione, że aż od nich kolorowe i pachnące, zwinnie przetaczały się od dworu do dworu coraz dalej, coraz dalej, ku Kanałowi Królewskiemu, za kanał...

Czasem na znak przez Orszaka lub pomocników jego dany wszystko zatrzymywało się, stawało, słuchało: „Teraz nie można! Szpiegi krążą! Wojska przechodą!” Albo: „Nie tymi drogami! Tamtymi! Tamtymi! Bezpieczniejsze!” Zwłoki bolały; nie bywały też nigdy długie. Zawsze znajdowały się sposoby, jeżeli nie te co wprzód, to inne. I znowu, czasem

z objazdami dalekimi, przez okolice wpraw nie znane, brzegami łąk świecących szkłem wodnych rozlewów, skrajami lasów obrzeżających bezludne ugory, od dworu do dworu, coraz dalej...

Nieraz w drodze zapadały nad nami gwiaździste lub pochmurne noce, nieraz o sinym świtanu mijałyśmy jakieś domostwo niskie, z grzędami jaskrawych kwiatów przed progiem i wołały na nas stamtąd znajome głosy, abyśmy zatrzymały się, odpoczęły... Bywały cudne wschody słońca na niebie, różane od jutrzeńek, gdyśmy, bezsenne i spragnione, piły z glinianych kubków mleko pienne, nad oblanymi rosą grzędami ognistych nasturcji i piwonii.

I tylko — niestety — wozy i wózki nasze nie zatrzymywały się nigdy przed chatami chłopskimi.

Chaty te były przed nami zamknięte — niestety!

Zamykały je przed nami różnice wiary i mowy, błędy przodków naszych — niestety! Niestety!

I była to skała, o którą rozbiła się nawa nasza, na straszliwe morze wypuszczona — niestety!

Na której piękny żagiel nasz rozdarł się — niestety!

Z której po krótkim dniu słonecznym spłynęła na nas noc ciemna, duszna, zimna, nieprzebyta — niestety!

Zamknięta przed nami chata chłopska była to ta skała — niestety! niestety! niestety! Stacali bitwy...

Rozumiesz, że naocznym świadkiem ich być nie mogłam, a chociaż wiele, wiele razy słuchałam opowiadań o nich naocznych świadków, zrozumiesz, że dla ich malowania potrzeba ręki, do czego innego niż moja zaprawionej.

Do czego zaprawiała się ręka moja, ty wiesz! Na tym świecie bratobójczym, od złości żółtym i od krwi czerwonym, zaprawiała się ona do zdejmowania z nieba wysokich, czystych, kojących błękitów. Szalona była? To prawda. Lecz nie wymagaj teraz od niej farb czerwonych.

To jednak powiem, że stoczyli kilka pomyślnych bitew z wojskami, które ich po zaroślach, cieniach, labiryntach leśnych szukały, ścigały, tym nowym dla siebie sposobem wojowania niecierpliwione, rozjątrzone.

Tak nieraz kraje inne broniły się od niewoli albo zrzucały z siebie niewolę za tarczami swoich gór i skał. Myśmy górskich zasłon ani skalnych wierzchołków nie mieli, tylko tę jedną tarczę zieloną, odwieczne gniazdo rodu, z którego teraz ród uczynił sobie twierdzę, a raczej wiele twierdz z osadzonymi w szumiących ścianach ich załogami.

Drobne liczbą musiały być te załogi, aby przez tę drobność właśnie posiadać lekkość, łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce, rozlatywania się i zlatywania na kształt ptaków, które przed myśliwcem umykają, a sposobność pomyślną dostrzegłszy spadają na niego gromadą skrzydlatą, dziobatą, zawsze rozlecieć się i znowu zlecieć gotową.

Drobne załogi te z natury być musiały, ale także i bardzo liczne. Aby starczyć, aby skutecznie czoło stawić ogromnemu i w formy regularne ukształtowanemu wojsku, ilość ich musiałaby być ogromna, musiałaby powierzchnię kraju usiać tak gęsto, jak gęsto gwiazdy usiewają sierpniowe niebo. Była niewielka, była za mała. Skurczyła ją, wzrost jej zata-mowała, do stanu pożogi szerokiej, zwycięskiej nie dopuściła — niestety! — zamknięta chata chłopska.

W zielonej twierdzy lasów horeckich załoga okazała się dzielna i mężna. Tygodnie upływały, bitwy były stacane, a ona nie przestawała trwać, przeciwnie, miała niebawem wzrosnąć w liczbę i siłę przez połączenie się z inną jej podobną, którą ze stron niezbyt dalekich wiódł ku niej...

Jak dzwonek, radosną wieść ogłaszający, zabrzmiało w ustach ludzkich imię: Leliwa. Było to przybrane imię; ukrywało się pod nim inne, nam zresztą wiadome. Bił od imienia tego blask pięknej sławy, szły przed nim opowieści do legend podobne. Ci i owi mówili, szeptali: „Gdy się dwaj tacy wodzowie, gdy się dwa takie oddziały połączą...” I upatrywali w tym połączeniu zawiązek narodowego, regularnego wojska albo spodziewali się po nim jakiegoś czynu tak rozgłośnego, zwycięstwa tak potężnego, że jak błyskawica firmament rozświeci, jak prądem elektrycznym ludźmi wstrząśnie i wszystkich do walki pociągnie, może nawet chatę chłopską przed nią otworzy.

Takie były marzenia — ale niechaj nie mówi nikt, że urojenia. Niechaj nikt marzeń wielkich z próżnymi urojeniami nie miesza, bo na dnie ich częstokroć spoczywa prawda, której tylko twarda tłocznia złej rzeczywistości ziścić się nie dała. Dusza ludzka, do wielkości stworzona, o niej w rozręsknieniu śni. sny nie sprawdzają się, lecz w nich jest prawda, nie w wichrach, które kurzawy marne z ziemi podnoszą, z nich dla niej mogiłę usypują. Otworzy się kiedyś mogiła i wyjdzie z niej zwycięska prawda snów wielkich...

Gromadziły się naprzeciw załodze twierdzy horeckiej wojska liczne. Dlaczego aż tak liczne, przyczyn było wiele. Wytrzymałość jej i trwałość zadziwiały, budząc błędne przypuszczenia o jej liczbie i zasobach; zwycięstwa przez nią odnoszone upokarzały, gniewały, jątrzyły. Trzeba raz z tym skończyć. Pochód Leliwy przez lasy i moczary, powolny i skryty, zupełnie tajemnym jednak ani cel jego nie znanym zostać nie mógł. Niedobrze w zamian znana, cieniami lasów, pustkowiec moczarów okryta była oddziały tego siła. Głębokie lasy, bezładne pustkowia, drogi tylko przez klucze wędrownych ptaków wykreślane tajemnic dobrze strzegą, a w każdej tajemnicy tkwi ziarnko grozy i narzędziem optycznym najwięcej powiększającym przedmioty jest ich tajemniczość. Trzeba tedy przeszkodzić zlanie się dwóch oddziałów, które gdy się dokona, przedstawi niewiadomą siłę i celów najbliższych. Na koniec, nie było takiego argusowego oka, które by w każdym dniu i o każdej godzinie wiedzieć mogło, czy już nie dokonało się, wczoraj może, ubiegłej nocy może, przed godziną może... A jeżeli się to już stało? Przeciw cyfrze niewiadomej występować musiała cyfra wielka... Takie były przyczyny, dla których przeciw załodze twierdzy horeckiej wyprowadzić musiano ilość wojska w stosunku do jej ilości wielką.

O tym, że tak być miało, wiedzieliśmy i wiedział obóz. Nie darmo Orszak i pomocnicy jego pracowali. Niewiadomy tylko pozostawał dzień, w którym wojska ku lasom horeckim przyciągną.

Do dnia tego sposobiono się w obozie; do następstw jego przysposobić się musiała organizacja.

W wypadku każdym przewidywana była liczba znaczna rannych, a w wypadku rozproszenia znaczniejsza jeszcze tych, którzy schronienia krótszego lub dłuższego potrzebować będą.

Okazała się konieczność zgromadzenia pewnego zasobu chętnych sił ludzkich w jak największym pobliżu miejsca przyszłej i zapewne niedalekiej w czasie walki.

Dwór z dużym, murowanym domem, trochę na ruinę wyglądającym, zaniedbany, smutny, prawie ponury w swych białych brzożach i prawie czarnych świerkach. Mieszkał w nim człowiek samotny, od dawna ciężką niemocą złożony i panowała towarzysząca zwykle niemocy i samotności cisza.

Lecz w tym momencie ani ciężka niemoc, ani orszak jej z odosobnienia i smutku złożony przeszkodą być nie mogły. Przeciwnie, odosobnienie, zaniedbanie, sława grobu, w którym przeciągle dogorywa człowiek już prawie umarły, dobroczynnie usuwały podejrzenie, przypuszczenie, że zakraść się tu mogła jakakolwiek fala wrzącego dokoła potoku.

Zakradła się jednak i żadnym głośnym objawem nie zdradzała swego istnienia. Białe brzozy i ciemne świerki zdawały się ocieniać grób.

W pokojach wysokich, od dawna zaniedbanych, wśród sprzętów nielicznych i ścian prawie nagich zwinnie krzątały się kobiety, długie rozmowy staczali mężczyźni. Pierwsze stałe tu przebywały; drudzy zjeżdżali się, to rozjeżdżali w sposób najmniej dla oczu i uszu ludzkich wyraźny.

Nad stołami wznosiły się stopy sporządzanych szarpi, bandaży, rodzaju różnego bielizny i odzieży; u ścian białe troskliwie usłane pościelenie; gdzie indziej ważono, mierzono, przysposabiano kuchenne i spiżarniane zasoby.

W noc chmurną i dżdżystą ktoś do drzwi prowadzących na ogród zapukał.

— Kto tam?

Za szklanymi drzwiami stała postać w ciemności czarna, lecz głos znajomy wymówił imię znane. To jeden z przebywających w obozie lekarzy.

Pieszko przeszedł przestrzeń dzielącą obóz od kanału, wpław przebył kanał i przyszedł tu, aby udzielić rozporządzeń czy wskazówek tyczących się przyszłych rannych.

Godzinę tylko zabawi i przed wschodem słońca z powrotem znajdzie się w obozie. Odzieży osuszać nie będzie, bo nie warto czynić tego przed powrotnym wkrótce rzuceniem się do wody. Więc wodą ociekający, pijąc pospiesznie rozgrzewający napój mówi nam, co w domu znajdować się powinno, co czynić, jak sobie w wypadkach różnych radzić, w razie gdyby żaden z lekarzy obozowych nie stawiał się na chwilę odpowiednią. Stać się to łatwo może, dla tej choćby przyczyny, że żaden może już nie żyć. I o tym jednak pomyśleć należy, aby nieżyjących czy uwięzionych ktoś żyjący i wolny zastąpił. Kogo, skąd do zastępstwa wezwać? Zaraz też oznajmić, uprzedzić: gdzie, kiedy.

Przed wschodem słońca młody lekarz znowu Kanał Królewski przepływał i ścieżkami leśnymi ku obozowi dążył, a niewiele później, o wczesnym poranku niepozorna bryczka z dwiema siedzącymi na niej kobietami przetaczała się od zaniedbanego dworu do miasteczka o mil kilka oddalonego.

Różowej jutrzeńki dnia tego na niebie nie było, szare chmury wschód słońca zasłaniały, na piaszczystej, nudnej drodze dął wiatr silny i biczami zimnego deszczu smagał. W mgłę deszczowej karłowate sośniny na żółtych piaskach wyglądały jałowo i nędznie; po obu stronach drogi tu i ówdzie wysokie dziewanny, całe w kwiecie, przez wiatr miotane, zdawały się rozpaczać i ociekać żółtymi łzami. Czarne wrony na zarośla zlatując krakały. Na sercu leżał ciężar niewiadomego pochodzenia: może w smutku natury przeczucie smutku, o! jakiego smutku życia!

W miasteczku panował wielki ruch, pomimo że przestraszona ludność mało ukazywała się na mokrych dnia tego uliczkach. Ruch pochodził od wojska, którego liczba znaczna tylko co tu przybyła, a kiedy odejść stąd miała, nikt nie wiedział. Nie zaraz jednak pewno, bo oficerowie i żołnierze roztasowywali się po domostwach; plecy żołnierskie były już bez tornistrów, grzbiety końskie bez siodeł. Szare od deszczu powietrze napępniały czerwone i żółte plamy mundurów, sylwetki zwierząt, wozów, ładunków na wozach, panował zamęt i hasła życia niespokojnego, które przystanąwszy na chwilę, wzdęło się butą i pewnością swojej nieprzemóżonej siły.

Wśród pstrokacizny wojskowych ubrań i natłoku śmiałych ruchów przesuwały się, przebiegały postacie mieszkańców, pokorne, śpieszące, wylękłe, z twarzami pobladłymi; z wrzawy grubych głosów wyrzynały się piskliwe krzyki kobiet i płacze niemowląt.

O południu dnia tego przyjechał do nas Orszak i oznajmił:

— Jutro!

Dlaczego aż jutro, skoro do miejsca tak bliskiego już nadciągnęli? Czekają zapewne na nadciągnięcie innych...

Przed zmrokiem naczelnik organizacji udał się do obozu dla pomówienia z naczelnikiem partii. Prowadził go przez las, jemu nie znany, wybornie go znający stolarz Antoni, który syna miał w partii. Wczoraj tu przyszedł z miasteczka, w którym warsztat swój posiadał, z zapytaniem, co tam z naszymi słyhać. A teraz śmiał się pod białym wąsem i ręce zacierał ciesząc się: „Chłopca mojego zobaczę!”

Niewiele przed północą powrócili i z twarzy naczelnika organizacji widać było, że nie zadowolił go wynik rozmowy. Z Orszakiem i starym Ronieckim, który o późnym wieczorze tu przybył, długo w noc po cichu rozmawiali. Zdaje się, że szło o to, aby Traugutt uniknął bitwy z siłą tak przeważającą, przez cofnięcie się w ciągu nocy dalej, głębiej w lasy, które łączyły się z horeckimi i że on na to się nie zgodził. Zdaje się, że przyczyną niezgodzenia się były niedogodności gruntu, które przyspieszonym pochodem przebywać wypadaloby i obawa, aby rozkaz cofania się nie osłabił odwagi i ufności w siebie świeżego żołnierza.

Noc była bezsenna i niespokojna. Wiele niepokoju przyczyniała Czernicka, żona nadleśnego, której mąż, strzelec wyśmienity, i syn dwudziestoletni, jednak, byli w partii. Gospodyni doskonała, kobieta pracowita i uczciwa, była nam tu w zajęciach naszych bardzo użyteczna i lubiliśmy ją, choć po kryjomu uśmiechałyśmy się czasem z jej gadatliwości niezrównanej, głosiku piskliwego i niezwykle wysokiej a cienkiej figury, u której szczytu żałośnie jakoś sterczał z tyłu czaszki cieniutki, czarny, spiralnie zwinięty warkoczyk. Z tą Czernisią naszą, wesołą zwykle, czynną, różną i aż nadto mówną tej nocy nie wiedzieć, co się stało. Wstąpił w nią jakiś duch niepokoju, strachu, tęsknoty, nad którym nic zapanować nie mogło. I był to duch w gadatliwej kobiecie tej bardzo dziwny, bo jak grób milczący i tylko przymuszający ją do ciągłego chodzenia, snucia się dokoła

nas, patrzenia w twarze nasze małymi, czarnymi oczkami, z których wyglądała jakaś niewysłowiona i żadnym słowem nie wyrażana męka. Do spoczynku położyć się nie chciała, jeść ani mówić z nami nie chciała, robić nic nie mogła i tylko z żalonym warkoczykiem swym u szczytu długiej i cienkiej figury, z drobną, żółtą twarzą, w męce nieprzemóżonej skurczona chodziła wciąż, chodziła, snuła się pod ścianami, dokoła stołów, a za nią chodził po ścianach długi i cienki jej cień. Zatrzymywała się czasem u otwartych drzwi pokoju, w którym mężczyźni rozmawiali i zdaje się, że podsłuchiwała ich rozmowę... Ta przez długie godziny nocne w milczeniu grobowym chodząca wciąż i chodząca z męką na twarzy postać przypominała nam owego na wozie kołyszącego się wciąż i kołyszącego dziaka. Mdląły i bolały od jej widoku wszystkie nerwy.

Dzień wszedł słoneczny, upalny, duszny, ze szmatami chmur, przewłóczącymi się pod wyiskrzonym niebem.

W pokoju wysokim prawie pustym kilkanaście osób, kobiet i mężczyzn, stało u szczytów nie pozamykanych okien patrząc przez wielkie, lecz mętne od zaniedbania szyby na przechodzące i przejeżdżające wojsko.

Przejeżdżało i przechodziło szeroką, piaszczystą drogą za bramą i ogrodzeniem dziedzińca tak blisko, że można było wyraźnie dostrzegać postacie oddzielne, barwy ubrań i koni.

Rozłożyste gałęzie drzew rosnących za oknami część szczygłów zasłaniały; rozchyłał je, to znowu łączył wiatr dość silny i było to tak, jakby niewidzialne jakieś ręce rozsuwały, to zasuwwały zielone firanki, przed obrazem ruchomym, jaskrawym, błyszczącym, przesuwanym się długo... długo...

Szli i jechali, szli i jechali, z krótkimi czasem przerwami wśród oddziałów. Ubranie ich w świetle słonecznym iskrzyło się od barw i metali, bronie błyszczały, kroki monotonne szumiały, niekiedy głucho grzmiały.

Siła. Siła liczby i żelaza. Siła wielka. Nie setki już mniejsze lub większe, jak wprzód, ale tysiące.

W pokoju panowało milczenie, szmerem oddechów nawet nie mącone, bo przeciągająca przed oczyma siła kładła się na oddechach, tamowała je i dławiała gardła. W tym milczeniu czyjś głos wymówił:

— Jenerał!

Kilka powozów z wolna toczyło się po piaszczystej drodze. Jeden z nich nalany był jaskrawą czerwonością i zaświeciły w nim jakieś srebrne włosy. Kilka rumianych twarzy dokoła tej srebrnej głowy, mnóstwo jeźdźców i koni dokoła powozu od połacanych brązów błyszczącego.

Była chwila, w której zdawać się mogło, że powóz stanie przed bramą dworu — i krew w żyłach zastygła. Wsiądą z powozu, wejdą do domu, może będą szukali tego, czego dom ten pełny, może będą zapytywali o to, o czym ustom naszym mówić przed nimi za cenę życia niepodobna...

Ale nie; to tylko w grząskim piasku koła powozu obroty swe zwolniły. Stangret z ramionami w czerwonych rękawach jak struny wyprężonymi przed piersią w czarny aksamit ubraną gwizdnął, konie okryte mosiądzem błyszczącym i brzęczącym ruszyły prędzej, powóz minął bramę, za nim w otoczeniu jeźdźców przesunął się jeszcze i jeszcze jeden. Sztab jeneralski. Za powozami pełnymi ludzi młodych jeszcze, jak na bal wystrojonych, z ożywieniem gestykulujących, znowu wojsko piesze, konne, potem jeszcze bryki wojskowe na zielono pomalowane, ładunkami spiętrzone i na koniec proste wozy chłopskie, potrzebom jakimś żołnierskim służyć zapewne mające. Wiele chłopskich wozów; powożą nimi ludzie w szarych siermięgach i baranich czapach, nad twarzami ciemnymi, obrosłymi, obojętnymi, znudzonymi.

Do jednostajnie przed obu zapaśnikami zamkniętej chaty chłopskiej zapukała siła, ludzi tych z niej wyprowadziła i za sobą prowadziła. Milczący Sfinks leniwie i obojętnie ciągnął za tysiącogłowym kolosem, a zbiorowe oblicze jego spod czap baranich zdawało się mówić: „Muszę!” i „Wszystko mi jedno!”

Na koniec opustoszała piaszczysta droga i nic już na niej nie było oprócz tumanów kurzawy żółtymi strzępami opadającej na pobliskie drzewa.

Odstąpiliśmy do okien i usiedliśmy, gdzie komu było najbliżej. Nikt nic nie mówił, zdaje się, że nikt nikogo i nic dokoła nie spostrzegł. Myśli w głowach milczały, na sercach leżały bryły lodu.

Służący ukazał się we drzwiach otwartych i dziwnie cichym głosem oznajmił podany obiad. Nikt długo nie czynił najmniejszego poruszenia, a potem ktoś wstał i przymknął drzwi pokoju, w którym krzątała się służba i podzwaniały naczynia stołowe. Powszednie widoki stały się dla dusz nieznośne, powszednie potrzeby w ciałach umilkły. Nic, tylko ten kolos, który tylko co przed oknami przeciągnął, tylko ta siła żelazna, ogromna i przed oczyma, w uszach jej błyski, barwy, brzęki, turkoty, tętenty...

Zupełnie niepodobna mi powiedzieć, ile czasu upłynęło do tej chwili, do tej niespodziewanej tak rychło chwili, w której za domem, nie w bezpośredniej jego bliskości, ale w niewielkim oddaleniu uderzył w powietrze stuk ogromny — i my wszyscy zerwaliśmy się na nogi, z jednym u wszystkich okrzykiem:

— Strzelają!

Potem krótki pomiędzy nami zgiełk zapytań, zadziwień.

— Już! Tak rychło? Jak to? Gdzie tak blisko? Oni przecież w głębi lasu... a strzały u jego brzegów, nad kanałem.

Pośrodku przestrzeni dzielącej dwór od kanału wznosiło się wzgórze dość wysokie, nie wiedzieć jak wśród płaszczyzny tej powstałe. Na piaszczystych jego zboczach rosły sośniny cienkie i rzadkie, krzaki jałowcowe, mchy i czombry.

Szerokim otworem pozostały za nami drzwi domu, pustką stanęły pokoje domu; biegliśmy ku wzgórzowi i nie dosięgliśmy jeszcze wierzchołka, gdy las zahuczał potężnym, przeciągłym grzmotem.

Tak, las zagrzemiał. Bo gdy z tej strony niedalekiego i nieszerokiego szlaku wody nieprzejrzaną wstęgą ludzi i koni rozwijało się wojsko, gdy na różnych punktach powierzchni wodnej, bliskich, dalszych, dalekich, widać było przebywające wodę jego oddziały, strona tamta, przeciwna, pusta była i bezludna. Nic tam nie było krom nierównego w swej szerokości pasu łąki nadbrzeżnej i za nią, pociętej w zagłębienia i wypukłości, ciemnej ściany lasu.

W ciemnej, nieruchomej, milczącej ścianie lasu grzmiało i błyskało, po czym stawała się ona znowu ciemna, nieruchoma, milcząca.

Budziła się w zaczarowanym pałacu swoim straszna baśń...

Jakiś wśród nas przytłumiony głos wymówił:

— Partię na brzeg lasu przyprowadził...

Inny wnet dodał:

— Przeprawy przez kanał broni...

— Nie, nie! Tego dokazać by nie potrafił i wie o tym. Żołnierza swego na duchu podnosi!...

Naczelnik organizacji do Orszaka, Ronieckiego i innych starszych rzekł:

— Oznajmia, że bitwę przyjmuje...

Jeżeli w słowach tych była ironia, to na wskroś przejmował ją ból.

Wielkie masy zbrojne wobec niespodzianki, która je zaskoczyła, spokojne były i milczące. Poruszały się z powolnością rzeczy ciężkich, które utrzymywane są przez doskonałe karby na liniach stałych i prostych. Żadna drobina nie odrywała się luźnie od tej potężnej całości, żaden zamęt nie objawiał się w żelaznym tym porządku. Liczne i z oddala czarne jej oddziały na wielu jednocześnie punktach przebywały wodę i przebywszy ją okrywały szlak nadbrzeżnej łąki.

A las na to wyładowywanie się u stóp jego siły najeżonej żelaznymi ostrzami patrzył przez dość długie chwile w milczeniach kamiennych i zdawać się mogło, że w nim nic nie istniało krom drzemiącej w zaklętym pałacu baśni, aż znowu nagle coś na zielonym jego podłożu zrywało się z ogromnym stukiem, który ciemne ślady swoje tu i ówdzie na łące i wodzie pozostawiał.

Tu i ówdzie na łąkę i wodę upadało coś, co z oddalenia miało pozór plam drobnych, ciemnych. Podnoszono to i składano na wozy chłopskie, u których nie było już powoźników.

Sfinks na odgłos grzmotów, rozlegających się u brzegu lasu, rozproszył się na gromadki, które przestrzeń jak największą od tego, co się działo, życie własne odgradzać

usiłowały. Kilka jego baranich czap zabiegło aż na nasze wzgórze i zza cienkich sośnin wychylało oblicze ciemne, włosom zarosłe, czasem ciekawe, czasem złośliwe, najczęściej obojętnie mówiąc: „Nie obchodźcie nas ani jedni, ani drudzy i walka wasza nic nas nie obchodzi Wszystko nam jedno!”

Tak na toczące się po górskich wyżynach boje Ateńczyków z Lacedemończykami z przyziemnych siedlisk swych spoglądać musieli heloci.

Jeszcze raz grzmotem przemówił las, jeszcze i jeszcze raz, aż umilkł.

Zerwała się była baśń z zielonej pościeli, krzyknęła i znowu opadła w zakłęta ciszę. Teraz w tajemne, głębokie jej pielesze wpływały szumiące, błyszczące potoki. Na wielu jednocześnie punktach wpływały powoli, znikwały, aż zniknęły. Za nimi na ostatku wciągnęły w ciemną uciszoną ścianę wozy z czapami baraniami i nic już nie było.

Nic już nie było prócz błękitnego szlaku wody pomiędzy szlakami łąk zdeptanych, chmur, które nabrzmiałymi szmatami chodziły po niebie, i wiatru, który kołysał wierzchy cienkich sosen. Mocny zapach podnosił się od rozrzuconych po wzgórzu liliowych płam czombu.

Długo, bardzo długo nie działo się nic wcale. Gromadka ludzi na wzgórzu stojących i siedzących z rzadka zamieniała się cichymi słowami. Potrzeby szeptania nie było. Drobne ptaki chyba, z trwogi po jałowcach i sosnach umilkły, podsłuchiwać by nas mogły. Lecz bywają wzruszenia, które niemocą dotykają głosowe struny i momenty, w których człowiek, na głos Boga oczekując, swojego podnieść nie śmie.

Ktoś cicho zapytał:

— A teraz gdzie... gdzie...

Ktoś inny podjął nie dokończone pytanie:

— Gdzie spotkają się?

— Kędyś... w głębokościach lasu. Ale nie zaraz! Nie zaraz!

— Takiej ciężkiej masie zbrojnego wojska posuwać się przez lasy gęste...

Uśmiechy wybiegły na twarze.

— Nielatwo!

— Żołnierz nawykły do pól otwartych lasu nienawidzi...

— Dowódcy go nie znają...

— Chłopi drogi pokazują... prowadzą...

Uśmiechy na twarzach pogasły. Serca przewiercił ból. O, czasie, roznosicielu pomst spadających na głowy niewinne, najlepsze! Ale czy ta pomsta i nad głowami mścicieli także nie rozwiesi całunu ciemności?

— Słuchajcie! Słuchajcie! Z cichego łoża lasu znowu zrywają się zakłęte baśnie i rozmawiać z sobą zaczynają! Zamieniają się grzmotami, długimi hukami, które następują po sobie coraz szybciej, coraz dłuższe i grzmotliwsze.

Nie widać nic, tylko te dwa grzmoty, toczące się w głębinach lasu, świat sobą napętniają...

Nie widać nic; słuch tylko pracuje, a praca to ciężka. Krew od niej we wszystkich pulsach stuka, jak pośpieszne uderzenia młotów.

Ktoś wśród nas z cicha tłumaczy:

— Te monotonne, ciężkie, jakby zbite w sobie huczenia, to rotowy ogień wojska... a te krótsze, słabsze, jakby z mnóstwa drobnych i szybko po sobie następujących stuknięć złożone, to ogień naszych...

— A podwójne, odosobnione stuknięcia czy słyszycie? Taf, taf! — taf, taf. To nie dość wyuczeni czy niesforni — z dubeltówek!

Słysząc krzyk. Tłumny, zgiełkliwy krzyk, raczej ogromne krótkie wrzaśnięcie wzbiło się nad ścianę lasu, a wnet po nim potoczył się w jego głębi rotowy ogień dłuższy, potężniejszy od poprzedzających.

To wojsko krzyknęło: hurra! Pchnięto do bitwy nowe roty.

Wtem za nami, obróconymi w stronę lasu, głos jakiś donośnie wymówił:

— Módlmy się!

Obejrzelśmy się wszyscy. Za nami, pomiędzy dwoma cienkimi pniami sosen stała Czernicka. Wysoka i cienka, twarz drobną i żółtą wysoko podnosiła ku niebu i wysoko nad głowę podnosiły się jej ramiona, na których chusta okrywająca plecy rozpięła się jak dwa skrzydła z nici czarnych i żółtych utkane, przeświecone słońcem. Zawołała:



— Módlmy się!

I upadła na ziemię, z ramionami nad głową wyciągniętymi, czoło do mchu suchego przyciskając. Chusta rozłożyła się po obu jej stronach jak omdlałe skrzydła i znad mchu głos silny, głuchym, głębokim stękanem podszyty, mówić poczęła:

— Chryste, usłysz nas! Chryste, wysłuchaj nas! Chryste z nieba Boże!...

W lesie grzmiało nieustannie.

Kilka osób uklękło, inne zostały w postawach stojących.

W postawie stojącej został naczelnik organizacji i rosły, urodziwy, ze skrzyżowanymi u piersi ramiony, na tle nędznego drzewa, o które się opierał, podobny był do posągu w myślach straszliwych skamieniałego. Straszliwe myśli rznąły mu czoło w mnóstwo fałd i zmarszczek, że wydawał się o dziesięć lat starszy, niżeli był wczoraj. Dalej nieco za nim, przez iglastą zasłonę gałęzi widać tylko dwie czaszki siwymi włosami okryte i bardzo ku sobie zbliżone. To Roniecki, biały ojciec dwóch śmiertelnie może już tam zaczerwienionych synów, i stolarz Antoni. Snadź o czymś rozmawiają, z cicha, lecz żywo, bo zza iglastej zasłony raz w raz ukazują się ręce ich to bielsze, to ciemniejsze, czyniąc dziwne ruchy i gesty. Te ręce mówią, żalą się, trwożą, nienawidzą...

W lesie grzmiało nieustannie.

Tuż przy mnie z czołem do sosny przyciśniętym klęczała siostra Mariana Tarłowskiego, młodzianka Anielka. Rodzeństwo to nazwano parą ładnych dzieci. Podobno ładną, złotowłosą dziewczynę pokochał był piękny Jagmin. Teraz złote włosy rozsypały się po dziecinnie drobnej jej kibici, profil twarzy zasłoniły i widać było tylko dwie bardzo małe ręce splecione tak silnie, że aż krwią nabiegłe, przyciskające pierś wątlą i tak nieruchomą, jakby oddech jej ustał i życie w niej zastygło. Po opadłym igliwiu sosnowym zaszeleściły lekkie kroki. To Stefunia, cała biała, szła do rozciągniętej na ziemi Czernickiej, przy niej uklękła i białą ręką gładzić poczęła jej włosy, spiralną linią warkoczyka żałośnie z tyłu czaszki ku górze sterczące. Zdaje się, że szeptała nad jej głową jakieś słowa pocieszenia czy współczucia, które zapewne słuchu jej nie dochodziły, bo od ziemi szedł wciąż głos donośny, głuchym stękanem podszyty:

— Jezu, słońce sprawiedliwości, zmiłuj się nad nami! Jezu, Ojczy przyszedłszy wieku...

Poważny głos Orszaka z wtórem kilku głosów kobiecych odpowiedział:

— Zmiłuj się nad nami!

W lesie grzmiało jeszcze.

Ktoś kilka razy krzyknął przeraźliwie, po czym spazmatycznie śmiać się i szlochać zaczął. To służąca moja, Marylka Jaroszyńska, której trzech młodzi bracia byli tam. Podnosiła ją z ziemi, obejmowała, uspokajała Klementyna Roniecka, wysmukła panna z pięknymi oczyma i myślącym czołem. Na pomoc im śpieszyło kilku mężczyzn...

W lesie grzmiało ciągle.

Klęczałam na kobierczyku liliowego czombu i także kobierczyki, mniejsze, większe, po zboczach wzgórz zbiegały coraz niżej, aż na białe piaski, które słały się daleko, pod szlak nadbrzeżnej łąki. Na piaski i na łąki, od sosen i wierzb kładły się cienie długie, ukośne, jak bywa zwykle o zachodach słońca. Słońce nisko już stało nad samym lasem, a wielka twarz jego, złota, pogodna, patrzyła na nas obojętnie i spokojnie, tak jak wtedy ów zegar znad czarnej kolumny, jak czas, wiekiusta i w wiekiustości swojej niewzruszona.

W lesie grzmiało jeszcze.

Zmrok zapadał. Nie było już nad lasem słońca. Wiatr spędził spod nieba chmury i ucichł. Na niebie wystąpiło trochę tylko gwiazd białych, jak w porach pełni księżycowych bywa zwykle.

W lesie ustały grzmoty, lecz nie uczyniło się w nim zupełnie cicho. Po głębiach jego bliższych, dalszych, dalekich, szły i rozchodziły się głośnie, to cichsze, to zaledwie echowce pogłosy nawoływania, hukania.

— Heej-haaaa! Hoo-hooj! — wołała tam baśń zaklęta, która dziś w sen i milczenie zakląć się nie mogła.

Tu i ówdzie, dalej, bliżej, jakby ktoś kogoś ścigał, jakby kto kogo do ścigania naglił. I wśród wołań tych tajemniczych, przeciągłych, echowych, kiedy niekiedy gromkie, krótkie, podwójne wystrzały: taf-taf! taf-taf!

Co wystrzały te znaczyły — nikt nie wiedział. Co wołania owe znaczyły — nikt nie wiedział.

Nagle rozebrzmiał w lesie taki sam jak parę razy już przedtem krzyk gromowy, zbiorowy, raczej wstrząśnięcie. To żołnierskie, wielotysięczne: hurra!

Potem znowu takie same jak wprzódwo wołania, tylko coraz dalsze, i takie same jak wprzódwo stuki dubeltowe: taf-taf! taf-taf! Tylko coraz rzadsze...

Włosy na głowach powstawały.

Zza dalekiego skrzytu lasu ukazywać się począł czerwony księżyc w pełni. Godzina musiała być już późna: musiała być nocna, gdyż księżyc w tej porze wschodził około północy. Po wodzie, po piaskach, po wzgórzu rozlało się czerwonawe półświatło. Las ucichł zupełnie.

Co się tam działo? Co się tam dzieje? Niepodobna było ani dojrzeć, ani dosłyszeć stąd rzucania się ciał ludzkich na wody kanału; ku wodom tym przecież zwracał się z natężeniem nasz wzrok i słuch.

Księżyc wyrastał nad lasem, aż stanął nad nim okrągły, ogromny, czerwony.

W ciszy, kędyś u skłonu wzgórza coś zaszemrało pomiędzy sosnami, niezrozumiale zrazu, potem wyraźniej:

— Mamo! Mamo!

Szmer to był, szept, raczej powiew smutny, jednak usłyszała go Czernicka i z krzykiem: „Stasiek!” porwała się spomiędzy sosen. Jak cień wysoki i cienki, ze skrzydłem rozwianej chusty za plecami, w czerwonym świetle zlatywała ze wzgórza i zlatywał z nią razem głos jej zdyszany, wołający:

— Stasiek! A ojciec? Jezu, Boże mocny! Co się stało... Ojciec gdzie? Jezu, przez mękę i krwawy pot Twój! Ty żyjesz, Stasiek! A ojciec! Co stało się?... Mów...

Ale wysmukły i bardzo blady wyrostek, w szerokim pasie na zmoczonej odzieży, mówić nie mógł. Rękę podniósł do szyi owiniętej szmatą od krwi czerwoną, zachwiał się i w ramiona matki upadł...

Od kanału ukazywać się zaczęły na łące i piaskach cienie ku nam dążące, z oddalenia drobne, w czerwonym świetle czarne cienie ludzkie...

...Jezu, słońce sprawiedliwości, Ojciec przyszłego wieku, kiedyż wiek Twój i sprawiedliwość nad światem wzejdą?

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ gloria-victis-oni>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Gloria victis*, Czytelnik, wyd. 1, Warszawa 1986

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Olga Sutkowska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.